



Edmund Adamski
Zbigniew Adamski

Koło Łowieckie
KNIEJA

w Kotlinie Jeleniogórskiej

Dariusz Adamski
Zbigniew Adamski
Koło Łowieckie
JARZĄBEK
znad Zalewu Mietkowskiego

Koło Łowieckie **DARZ BÓR**

Zbigniew Adamski

ZBIGNIEW ADAMSKI



KOŁO ŁOWIECKIE

DARZ BÓR

W KOTLINIE JELENIOGÓRSKIEJ

ZBIGNIEW ADAMSKI
KOŁO ŁOWIECKIE
DARZ BÓR
W KOTLINIE JELENIOGÓRSKIEJ





Kręciło się tam kilka kapitalnych byków bardzo ostrożnych, z lasu wychodziły dopiero po północy, a rykowisko kończyły jeszcze przed świtem.

Urwista k. Janochowa, str. 25.

Rys. Zb. Adamski

* Na okładce fotografia dzika w czasie zbiorowego polowania na podkowie w 2004 roku.

** Sarny występują licznie w naszych obwodach. Zdjęcie wykonano na Przełęczy Komarnickiej 2009 r.

Zbigniew Adamski



KOŁO ŁOWIECKIE
„DARZ BÓR”
W KOTLINIE JELENIÓGÓRSKIEJ

Polski Związek Łowiecki
Zarząd Okręgowy w Jeleniej Górze

Opiniodawca:
Edward Przebieracz
Tadeusz Bochynek

Fotografie
teksty i rysunki
Zbigniew Adamski

Redaktor techniczny
Andrzej Chmielewski

Korekta, opracowanie graficzne
okładki i zdjęć
Zofia Wąsik

Wydanie pierwsze
2010 r.

Druk i oprawa: TOTEM Inowrocław www.totem.com.pl



	Spełnione marzenia Igelströma Szola	9
	Łowiecka brawura	11
	Rzadkie widowisko	15
	Szydlarz	19
	Oszukać grzywacza	22
Spis	Szarża szesnastaka	25
Rzeczy	Trefna ambona	29
	Strzał w dziesiątkę	33
	Magiczne miejsce	36
	Diabelski krater	41
	Rankiem po ponowie	45
	Nie tylko wigilijne polowanie	48
	Gamrat z Urwistej	53
	Koło Łowieckie „Darz Bór”	57
	FOTO – KRONIKA	64
	Mały słownik języka łowieckiego	88





Spełnione marzenia

Tadeusza Igelströma Szola

W 1945 roku jednym z najważniejszych ośrodków organizujących Polski Związek Łowiecki na Dolnym Śląsku była Jelenia Góra.

Miasto nie było zniszczone, położone wśród bogatych lasów malowniczej Kotliny Jeleniogórskiej, zachęcało do osiedlania się miłośników i sympatyków łowiectwa.

Napływali osadnicy zza Buga, z centralnych województw, zdemobilizowani żołnierze, rolnicy wracający przez te ziemie z robót przymusowych w Niemczech.

Wędrujący ludzie po wieloletniej głodowce czynili często wyprawy po żywność. Początkowo korzystano ze zwierząt domowych, a kiedy tych brakło, sięgano po zwierzynę łowną. Do tego celu używano karabinów, a często i granatów.

W tych warunkach stabilizacja postępowała powoli. Broni było pod dostatkiem, leżała na polach, w rowach, ukryta w starych piecach, stodołach i na strychach.

Obławy przeprowadzano z zapalem i dawały one niezłe wyniki, zwierzyny było bowiem w bród. Na rezultaty nie trzeba było długo czekać. Ranna błąkała się po polach, ginęła bez pożytku dla ludzi. Nie było nikogo, kto by się zainteresował jej losem lub miał uprawnienia do interwencji. Sytuacja z dnia na dzień się pogarszała i groziła kompletnym wyniszczeniem miejscowych zwierzostanów.

Następny rok był rokiem gruntownej przebudowy łowiectwa na Dolnym Śląsku.

Samodzielna grupa działaczy łowieckich z Jeleniej Góry reprezentuje Dolny Śląsk na pierwszym Walnym Zebraniu PZŁ w Warszawie. Grupa jeleniogórska w porozumieniu z ówczesnym prezesem PZŁ Janem Stelińskim, 15 marca 1946 roku utworzyła Wojewódzką Radę Łowiecką z siedzibą w Jeleniej Górze, na czele, której staje Tadeusz Igelström Szol.

Odtąd strażnicy łowieccy i funkcjonariusze Lasów Państwowych byli zobowiązani kontrolować leśne rewiry, chronić przyrodę i zwalczać kłusownictwo.

W roku tym dolnośląska organizacja zrzesza 733 myśliwych, a w końcu następnego roku już 2500.

Działało już Stowarzyszenie Myśliwskie „Muflon”, założone przez Władysława Grzybowskiego w listopadzie 1946 roku. W ciągu zaledwie paru wiosennych miesięcy następnego roku powstają załóżki dalszych stowarzyszeń myśliwskich, takich jak „Darz Bór”, „Ryś” w Goduszynie, czy milicyjne koło „Jeleń”.

W piątek 21 marca 1947 roku, łowczy powiatowy dr Zenon Wiltowski i jego zastępca Paweł Kolose zaprosili na zebranie wszystkich nie zrzeszonych myśliwych powiatu. Celem było utworzenie dalszych stowarzyszeń myśliwskich i wydzierżawienie obwodów. Zebranie odbyło się w sali Dworca Turystycznego na Placu Bankowym 3 (w budynku na przeciwko Książnicy Karkonoskiej). Tutaj padły propozycje utworzenia dalszych stowarzyszeń myśliwskich.

18 czerwca tego roku zebrała się grupa założycielska Jeleniogórskiego Stowarzyszenia Myśliwskiego „Darz Bór” w składzie: Edward Czerny, dr Zenon Wiltowski, Tadeusz Sulewski, Stanisław Bejger i skarbnik Zygmunt Szulc. Tu podjęto uchwałę do wszystkich sympatyków „Darz Boru” o uiszczenie wpisowego oraz składki na konto przyszełego towarzystwa do 7 lipca 1947 r.

Tak dnia 7 lipca 1947 roku powstało następne po „Muflonie” Stowarzyszenie Myśliwskie „Darz Bór” w Jeleniej Górze.

Spełniło się marzenie Tadeusza Igelströma Szola.

Zbigniew Adamski
Znajdziesz więcej w Zarządzie Okręgowym PZŁ w Jeleniej Górze. tel. (075 75 223 68)

Łowiecka brawura

MOJĄ ambonę na Dąbrowicy opuściłem późno, bo grubo po dziesiątej przed południem. Za najbliższym zakrętem wpadłem nogą w borsuczą norę. Moja niezdarność i szamotanina przy jej wyciąganiu zwróciła uwagę jastrzębia gołębiarza.

Jego wytworne korkociągi nade mną miały moc hipnotyczną, bo przesywały mnie ciarki na myśl o tym, że ten wielki drapieźnik weźmie mnie za swoją ofiarę i zaatakuję.

On jednak się wcale nie spieszył. Chciał mi się przyjrzeć dokładniej, dlatego stale obniżał swój lot.

Moja przygoda wydała mi się trochę śmieszna, ale i niebezpieczna. Uwięziony w głębokiej dziurze, pełnej korzeni, na wszelki wypadek wprowadziłem nabój śrutowy do lufy kniejówki, bo przecież gdyby w tym miejscu była sarna czy inny zwierz, niechybnie ten drapieźnik by go zaatakował. Przede mną czuł jednak respekt! Lotem ślizgowym przeleciał obok, nie zdradzając chęci ataku. Przestałem się szamotać i to go zupełnie wprowadziło w błąd i uspiło. Krążąc nade mną, dalej bacznie mi się przyglądał. Rzadko kiedy z ptakiem miałem taki kontakt wzrokowy jak z tym krwiożerczym gołębiarzem.

Jaki on był wspaniały, o popielatej, ciemnej barwie z żółtym prążkowanym brzuchem! Wyglądem i zawziętością przypominał atakującego tygrysa! Jego drapieźny wzrok, hakowaty dziób i ostre szpony budziły przestrah.

Na tym terenie zobaczyłem go po raz pierwszy. Najpierw wziąłem za myszołowa. Znów wzbił się wysoko, krążył nad łąką, a kiedy się poruszyłem, jak strzała, nie ruszając skrzydłami, omijając zręcznie gałęzie drzew wypadł niespostrzeżenie i przeleciał tuż nade mną, by zniknąć ostatecznie za lasem.

Kiedy wreszcie uwolniłem swoją nogę, poczułem respekt dla brawury tego drapieźnika. Nawet byłem pełen podziwu i przyjaznych

uczuc dla niego, choć tak jak każdy gołębiarz był groźnym zbójcą w łowisku. Dla dogonienia ofiary wybierał zawsze najkrótszą drogę i chwytem szponów porywał swą zdobycz. Latał nisko, między drzewami. Siadał na grzbiecie zająca, kuropatwy, czy bażanta zadając śmierć uderzeniem dzioba w głowę.

Szerzył w łowisku wielkie spustoszenie. Kiedy nie był chroniony nie darowano mu tych zbójcekich występków i polowano na niego z puchaczem. Dziś jak większość drapieżników ma całoroczną ochronę i stał się cennym sanitariuszem w lesie.

Jeszcze do niedawna układano go do łowów na zające, kuropatwy, żurawie i gęsi. Ptaka noszono na rękawicy, a kiedy psy spłoszyły zwierzę dla jego schwywania wypuszczano gołębiarza. Mimo, że jest on bardzo ostrożnym ptakiem, nie darzącym nikogo większym zaufaniem, to jego dzikość umiano wykorzystać.

Gołębiarza zwą też austrijackim urzędnikiem. Jest bardzo punktualny, stale poluje na tym samym rewirze i o tej samej godzinie. Jeżeli jest to prawda, to jutro znów będę miał możliwość spotkać się z nim na rannej zasiadce.

Ambona moja stała nad wąskim polem obsianym owsem, przylegającym do starego lasu. Pilnowałem tam zboża przed dzikami, które robiły wielkie szkody w uprawie. Tu nikt nie zakłócał im spokoju i nie miały żadnej konkurencji, tak przynajmniej mi się wydawało. Jednak teraz odkryłem, że również to pole odwiedzało stado domowych gołębi.

Tego ranka kilkakrotnie podrywało się do lotu i znów siadało. Działo się tak kiedy jastrząb pokazywał się wysoko na niebie.

Gołębie ponownie zapadały, kiedy znikał. Pracowitość tego ptaka była imponująca. Regularnie przelatywał nad polem na znacznych wysokościach, usypiając czujność swych ofiar. Wydawało się, że nie zwracał na nie zupełnie uwagi.

Swym przemyślnym postępowaniem ujął mnie nawet za serce, bo postanowiłem poczekać w ukryciu do chwili, kiedy zaatakuje stado. Jego myśli poznałem na wskroś i moje przewidywania miały

się spełnić, a przy okazji mogłem nie myśleć o bezowocnym oczekiwaniu na dziki i przemęczeniu, niedospaną nocą.

Kotlina nad Bobrem stała się ziemią obiecaną dla gołębiarza. Zamieszkiwało tu sporo dzikiego ptactwa. Koła łowieckie stale wypuszczały młode bażanty, było dużo kuropatw, saren, dzikich i domowych gołębi. Jego pracowitość była uczciwa i imponująca, szczególnie w czasie karmienia piskląt.



Żywił je tylko przez siebie upolowaną zdobyczą.

Jastrząb na jakiś czas oddalił się w stronę Sokolika i nastąpiła długa cisza. Stado gołębi spokojnie napełniało swoje wola ziarnem, gdy naraź coś poderwało je do lotu. Jastrząb błyskawicznie uderzył i trafił bocznego ptaka tak, że ten koziołkując opadał ku ziemi. Teraz brawurowo gołębiarz dopadł ponownie ofiarę, chwycił ją w swoje szpony i ślizgowym lotem szybował ku ziemi. Silnie trzymając zdobycz usiadł na pniu złamanego przez burzę świerka. Kilkakrotnie walił dziobem w łeb ofiary, jednocześnie podejrzliwie zerkając w stronę mej ambony. Cofnąłem do wnętrza lornetkę. Zaniepokojenie

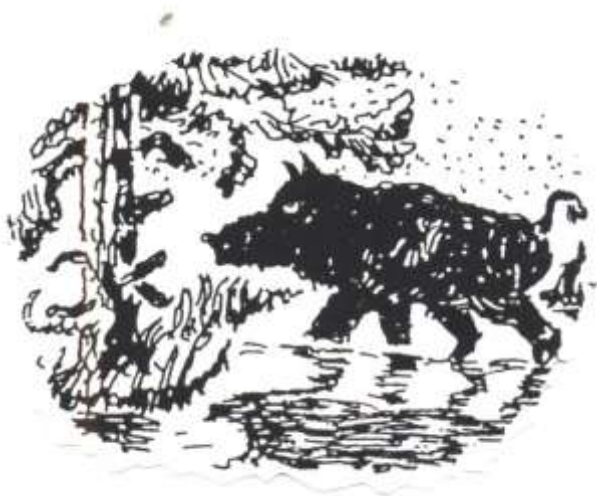
ptaka rozluźniło jego uścisk szponów i szamoczący się gołąb opadł na ziemię. Drapieżnik nie darował mu tego. Zeskoczył z pnia i ostrym dziobem dobijał jeszcze ruszającą się ofiarę.

Ten widok stał się dla mnie niezbyt smaczny. Nie wiedziałem czy żałować tego nieszczęśnika, czy też podziwiać drapieżność gołę-

biarza. Jastrząb na moich oczach dokonywał selekcji najsłabszego ze stada gołębia.

Mimo wielkiej zręczności w łowieckim rzemiośle, ptak ten często głoduje. Darowałem mu ten występki i pożegnałem jak bliskiego znajomego, kiedy odlatywał ze zdobyczą.

Po nim pozostało mi kilka fotografii i zapamiętana łowiecka brawura.



Rzadkie widowisko

JASIOWA Dolina była ostoją najpiękniejszych rogaczy, jakie występowały w Rudawach Janowickich. Przyczyniała się do tego obfitość wartościowej karmy, a do naturalnej selekcji słabych i chorych sztuk w dużej mierze panujący tu ostry klimat oraz liczne występowanie jastrzębi i sokoła, a także znacznej ilości krwiożerczych lisów. Częste mrozy, niespodziewanie wracające niemal każdej wiosny w Dolinę, powodowały deformację dopiero, co nakładanych przez rogacze parostków. Wszystkie te czynniki powodowały, że zdobywane tu sarnie trofea były cenne, wielkie i ciekawe. Przyciągały też wielu amatorów unikalnych okazów oraz myśliwych dewizowych.

Leśniczy opowiadał mi, że pod jego ambonę przychodzi rogacz, który ma zasłonięte oko przez jeden badyl. Ponieważ źle widzi, wychodzi na żer zupełnie po ciemku, kiedy trudno jego ocenić nawet w nocnej lornetce.

– Ja na rogacza nie biorę odstrzału – dodał – możesz sobie go obejrzeć.

Było bardzo ciepło.

– Idzie burza – zauważył leśnik. – Dziś już z zasiadki nic nie będzie! Jeżeli tylko możesz, to wybierz się wcześniej rano, ale zaczęły się sianokosy i łączka pod amboną będzie koszona. Musisz parę dni zaczekać.

Prawie po tygodniu od naszej rozmowy, wszedłem w stary świerkowy bór, zaścielony płataniną kolczastych jeżyn, porośnięty kępami świerczyny i młodych dąbczaków.

Ciągle przyspieszałem, aby zdążyć jeszcze przed świtem zasiać na ambonie Mietka, ustawionej na skraju łąki. Wiedziałem, że obok na pole wychodzą dwa rogacze – jeden silny krzyżak z bardzo wysokimi różkami, a drugi to ten selekcyjny, ze złamanym parost-

kiem zasłaniającym oko. Rogacz ten był bardzo ostrożny, bo dotąd nikomu nie pozwolił podejść do siebie, choć marzyło o nim wielu selekcyonerów. Wychodził późno o zmroku i wracał przed świtem do swoich dziennych leży.

W lesie oświetlałem sobie drogę latarką. Zbudzony światłem puszczyk nerwowo rozhukał się wśród drzew, wprowadzając nastrój niepokoju w łowisku. Taki głośny sygnał tej wścibskiej sowy mógł być ostrzeżeniem dla ostrożnego rogacza.

Nie musiałem długo czekać na kilkakrotne szczeknięcie koźła. Pochodziło jednak z krańca dość odległej łąki. Potem nastąpiła zupełna cisza. Staralem się wychwycić choćby najmniejszy szmer, ale nic takiego nie miało miejsca. Zewsząd otaczała mnie czarna noc, a w niej nawet słyszałem bicie własnego serca.

Jest dobrze! Jeszcze ostrożniej podszedłem do drabiny i starałem się w czasie wspinania na nią ani razu nie stuknąć. Otwarłem powoli drzwi i wśliznąłem się do wnętrza niczym wąż.

Zadowolony przysunąłem się do szczeliny okna i oniemiałem z wrażenia. W szklach lornetki odkryłem dużego rogacza stojącego nad strumieniem, o ceglastej sukni i z wplątanymi trawami w rogi. Zrobiło mi się gorąco, byłem pewien, że to on, o jednej chyba trzydziestocentymetrowej tyce w kształcie krzyża, okręconej zielskiem i drugiej zwisającej ku dołowi.

Kiedy wyrównałem ostrość lunety na kniejówce, rogacz nagle zniknął mi z pola widzenia. Gdyby nie lekki chłód poranka, który nagle wypełził z mrocznej kniei i owiał moją twarz, byłaby mokra od potu i niespodziewanego wrażenia.

Już cienka świetlna rysa na grzbiecie Karkonoszy robiła się coraz jaśniejsza, aż przybrała kolor krwistej wstęgi. Zapaliło się słońce na Słoneczniku, potem na Wielkim Szyszaku i świt powoli zawitał pod moją amboną. Zauważyłem, że naraz świerk na skraju strumyka zaczął się lekko kołysać i uginać. Moja strzelba wycelowana była w punkt przed ruszającym się drzewkiem. Czekałem na ukazanie się komory rogacza.

Kiedy byłem już pewien jego głowy, dało się słyszeć pomrukiwania. Natychmiast odłożyłem broń. Z zaskoczeniem teraz wypatrywałem dzika lub lisa, a może jeszcze innego zwierza, które pomrukuje.



Nagle ku mojemu zdziwieniu na łąkę przybył zając i dalej nerwowo mruczał. Z pomocą przednich łapek zaczął czyścić swój kożuch.

Dla kogo on tak się stroi, komu się chce przypodobać? Miał partnerkę – to było już jasne, choćby przez to jego mruczenie i zalotny wygląd.

Byłem tak wpatrzony w zachowanie zająca, że zapomniałem zupełnie o rogaczu. Nawet rozładowałem strzelbę, aby o niej nie myśleć, tak bardzo mnie ten szarak ujął swym niecodziennym postępowaniem. Z niecierpliwością czekałem na jego wybrankę, dla której poświęcał aż tyle czasu.

Naraz omal nie zakląłem! Ze strumyka wyskoczył jak szalony najzwyklejszy kaczor krzyżówki. Wprawdzie czytałem o różnych zбочzeniach, ale żeby gach stroił się do kaczora? Im dłużej przyglądałem się tej scenie, nabierałem coraz większego przekonania, że szarak został wyrzucony ze swego legowiska przez za-

dziornego kaczoza. Bronił się teraz udając ważniaka, a przy tym pomrukiwał.

Ale z niego bohater! Ma wprawdzie cały zastęp nieprzyjaciół, prześladujących go o każdej porze dnia i nocy, ale żeby takiej kaczcze ulegać? To mi się w głowie nie mieściło! Tym razem zamiast przywieść rogacza będę miał piękną fotkę kaczoza z zającem, ale czy nie było warto poświęcić cały ten ranek na to rzadkie widowisko?

Rogacz na pewno poczeka, a ponieważ wychodzi tylko nocą, długo jeszcze będzie zamieszkiwał Jasiową Dolinę. Myślę, że innym razem się z nim na pewno spotkam!

Zająca zapamiętałem, jako kulturalnego tchórze, który choć w elegancki sposób, to skompromitował się przede mną i tym dzikim kaczozem.

Jednak na łące urządził rzadkie widowisko!



Szydlarz

LĘŚNICZÓWKA Mietka Sadowskiego w Wojcieszowie była chętnie odwiedzana przez myśliwych. Znajdowała się w niej książka ewidencji realizowanych tu odstrzałów, a leśnik udzielał cennych rad na temat skuteczności ich wykonania. Jednak wielu zapamiętało ją dzięki zamieszkującym obok niej leśnym zwierzętom, którym udzielono azylu. Najczęściej najpierw przypadkowo trafiały one do rąk ludzkich, a potem pod opiekę leśniczego. Tutaj nabierały sił i powracały do zdrowia, by ponownie znaleźć się w lesie.

Żona leśniczego, miała pełne ręce roboty, bo trzeba było wykarmić często dość znaczny inwentarz.

Leśniczówkę pobudowano na pagórku i wkomponowano w skalisty pejzaż, dlatego zwierzyna miała tu prawie naturalne wybiegi i czuła się jak u siebie w domu.

Wokół porastały lasy mieszane z bogatym podszyciem, któremu sprzyjało nie tylko wapienne podłoże i czysta woda, ale i cieplejszy i klimat. Wraz ze wzrostem wysokości okres wegetacji roślin był krótszy o miesiąc, niż gdzie indziej w Sudetach.

W obniżeniach terenu, pomiędzy górskimi grzbietami rosły niezliczone ilości ziół, kwiatów i paproci. Swoim bujnym listowiem osłaniały wnęki i wapienne jaskinie, gdzie dzika zwierzyna stworzyła sobie dogodne warunki do bytowania.

Obwód ten, którym opiekował się leśniczy, stał się bardzo atrakcyjnym dla zdobycia rzadkich trofeów myśliwskich. Kiedy i ja otrzymałem odstrzał na rogacza w tym rejonie, nie ukrywałem zadowolonia. Wzniesienia wapienne, gdzie kiedyś żyły niedźwiedzie jaskiniowe, teraz stały przede mną otworem.

*

Od samego ranka burza wisiła w powietrzu. Czuło się ją ze wszystkich stron. Tę lipcową noc przespałem w stercie siana, by skoro świt zasiąść na Mietka ambonie, stojącej na skraju dość stromego

zbocza. Wczorajszego wieczora łąka była pusta, a przyległe chaszczki jakby wymarłe. Dziś gęsta, wilgotna wata przykrywała wszystko, a grzmoty nadchodzącej nawałnicy były coraz bliżej. Wybór był tylko jeden – zdążyć przed deszczem pod dach. Na pamięć dobiegłem do ambony, dość odważnie wdrapałem się do jej wnętrza, poganiany wielkimi kroplami deszczu. Po chwili już gęstym dudnieniem rozdzwoniły się one po dachu nade mną.

Ulewa wybuchła z szaloną siłą, woda wdzierająca się do wnętrza. Takie nawałnice występują tylko w górach i nad morzem. Przyciskałem do ścian luźne, mokre deski, kiedy wraz z osłepiającą błyskawicą strzelił piorun w rozłożystego buka obok ambony. Zamarłem z wrażenia. Odruchowo wepchnąłem się w najsuchszy kąt i tak przetrwałem resztę ulewy. Tymczasem grzmoty przeniosły się na drugi grzbiet i całą siłą wyładowywały swą energię. Krótka, jakby wiosenna burza, przeszła szybko i niespodziewanie. Mokra od deszczu łąka, wrzynająca się w czarną ścianę lasu, nabrała wyrazistości, a gwałtowne powiewy wiatru wypędziły z niej resztki wilgoci.

Już od kilku lat uganiałem się po górach za kapitalnym rogowcem i bez najmniejszego powodzenia. Czyżbym i w tym obwodzie nie spotkał nic godnego uwagi?

Po prawie godzinie obserwacji jakby spod samej ambony na łąkę wyszła sarna. Długo się wahała, ale nie wyczuwając niebezpieczeństwa podążyła na zbocze.

Nagle parę metrów od miejsca mej zasiadki ujrzałem rogowca o szydłowatych, świecących białością parostkach. Jednak dostał wiatr, strasząc zawrócił i w wysokich susach wybiegł na grzbiet łąki. O strzale nie było mowy, bo za nim ciągnęła się dolina i gospodarskie zabudowania. Chyba wiedział o tym, bo ten grzbiet wielokrotnie ratował mu skórę.

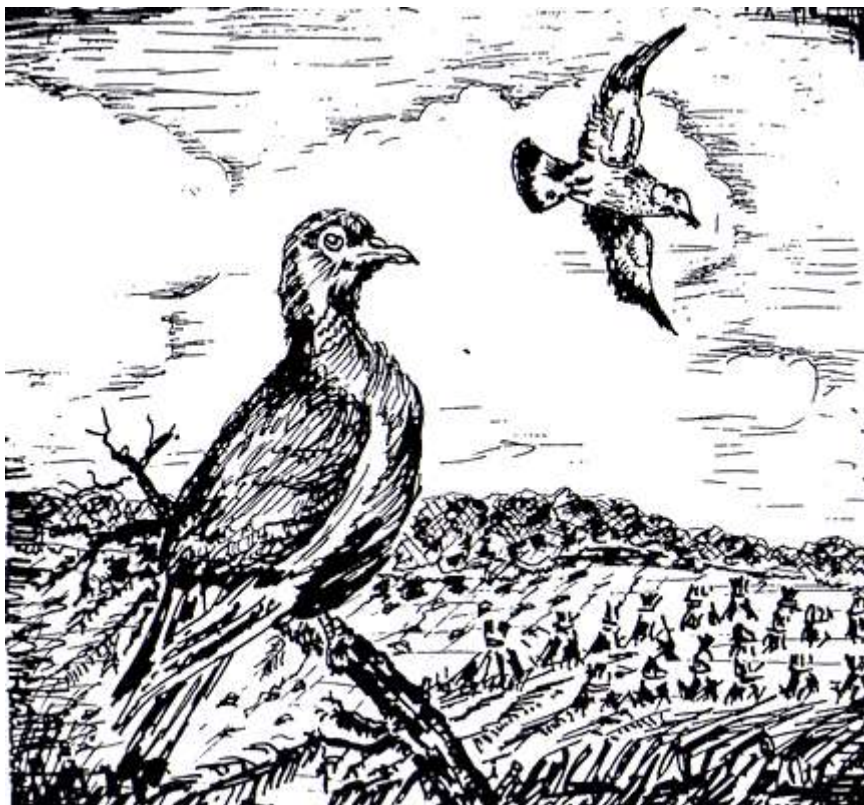
Długo jednak nie czekał. Ruszył galopem pod las, gdzie spokojnie inny rogowiec objadał świeże listki brzoźki. Młody widłaczek nie przeczuwając niebezpieczeństwa, naraz stanął przed groźnym rywalem do śmiertelnej walki. Tylko młodość i spryt uratowały go

od potężnego ciosu w brzuch. Po chwili rozgorzała walka o ten skrawek łąki. Zachowanie obu rogaczy zwróciło uwagę żerujących wokół saren, które walce wytrwale kibicowały. Naliczyłem ich chyba ze siedem i parę młodych kozłat.

Znów zaczęły się przepychania upartych rogaczy. Ustępował raz jeden, raz drugi. Obaj mieli jednak tylko niegroźne okaleczenia skóry. Naraz widłaczek po niespodziewanym ciosie rywala upadł na kolana i pojedynek ten na pewno skończyłby się dla niego śmiertelnie. Jednak kiedy szydlarz szykował się do zadania młodzieńcowi decydującego ciosu, mierząc w brzuch swej ofiary, trafiony swoją kulą zwałił się w ogień.

Młody rogacz powoli podniósł się z trawy i długo nie wierzył w to, że jego groźny rywal padł przed nim. Z początku boleśnie chwiejąc się nabierał sił, a potem nurkując susami wpadł w las.

Sarny wróciły do lasu. Nastąpiła długa cisza i ogromna radość ze zdobyczy i przeżytej przygody.



Oszukać grzywacza

OTWORZYŁEM szeroko oczy, kiedy kilkadziesiąt modro popielatych grzywaczy, połyskujących lśniącem karkiem, przeleciało nad lasem. Myślę, że mnie nie dostrzegły, gdyż ufnie z szumem i łopotem skrzydeł, wylądowały przede mną na rżysku.

Dziś trochę przeholowałem z czasem. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się o tej porze jeszcze pilnować pola przed dzikami. Nie zebrane snopy pszenicy wabiły nie tylko dziki, ale i stadko leśnych gołębi.

Grzywacze mojej kryjówki nie odkryły. Siatka maskująca przy dużym pniu świerka zawieszona była od kilku dni i widocznie się do niej już przyzwyczały. Wcześniej poza kombajnem zbierającym ziarno, nikt tu się nie kręcił. Jeden z gołębi jednak nie był tego pewien i szybko z rżyska wystartował. Usiadł na gałęzi przede mną i bacznie mi się przyglądał.

Spokojnie wycelowane w niego teleobiektyw i przycisnąłem automat. Seria trzasków migawki poderwała ptaka, jednak sfrunął tylko na ziemię. Teraz go miałem zaledwie na odległość strzału dubeltówki. Znowu automat minolty powtórzył serię zdjęć. Gołąb, jak rażony błyskawicznie odfrunął, jakimś dziwnym korkociągiem omijając wysokie drzewa.

Grzywacz był pełen wdzięku, zwinności i błyskawicznych zwrotów. Przyroda go wyróżniała pod każdym względem, szczególnie delikatnymi barwami i ostrością postrzegania.

Po chwili się odezwał na drugiej stronie ścierniska, przeciągłym huczącym głosem, podrywając do lotu pozostałe gołębie. Stadko natychmiast wzbiło się wysoko, zrobiło kilka rund nad polem i znikło mi z oczu.

Właśnie ten pojedynczy osobnik wprowadził mnie w błąd. Stąpił moją ostrożność, kiedy tak łatwo dał się sfotografować. Byłem przekonany, że zamienię kniejówkę na śrutowego boka i z łatwością strączę parę tych ptaków.

Następnego ranka złościły się już listki na brzożach rosnących nad polaną, brzęczały pszczoły i gdzieś w lesie śpiewał drozd. Był spokojny, wrześnieowy dzień. Nad niedokoszoną pszenicą snuły się resztki wilgotnej mgiełki. To miejsce wypatrzyłem przez przypadek. Przedtem tu nigdy grzywaczy nie spotykałem. Nie byłem jednak pewien, czy moja czatownia jest właściwie usytuowana, choć poprzedniego dnia miałem gołębie jak na dłoni. Dziś byłem dobrze przygotowany, miałem śrutówkę z pełnymi czokami. To powinno się udać.

Grzywacze przyleciały w tym samym czasie, tylko wylądowały po drugiej stronie ścierniska. Uratował mnie jednak jastrząb

gołębiarz, który natychmiast poderwał je ponownie do lotu. Kiedy i on odleciał przeniosłem się natychmiast na to ich lądowisko i ukryłem się w rozwartej kopce słomy.

Czekałem z zapartym tchem, kiedy znieenacka nadleciała wrona i omal nie wypaliłem do przestraszonego ptaszyska. Dalej trwałem w bezruchu. Dopiero może po godzinie grzywacze wylądowały na początku rżyska, demonstracyjnie siadając na kopach słomy. Byłem wściekły! To jawna kpina, skąd one wiedziały, że tu siedziałem?

Takie i podobne myśli prześladowały mnie długo, zanim usłyszałem szczekanie rogacza. To i ten mnie odkrył? Co za pech! Gołębie poszybowały w niebo. Moją kryjówkę znalazł jakiś młokos o głowie zaledwie widłaczka. Musiałem wyjść z ukrycia, bo by czekał jeszcze dalej. Na mój widok zrobił wielkie oczy i pośpiesznie prysnął w las. Teraz skorzystałem z nieobecności gołębi. Ile sił pobiegłem do stojących kopców na początku pola i bezładnie zarzuciłem na dwie z nich czapkę i torbę, sugerując, że są zajęte.

Powróciłem pośpiesznie do swej chatowni. Grzywacze też wróciły, choć dopiero przed obiadem.

Czułem je nad sobą jak przecinały ze świstem powietrze, a ja nie śmiałem się nawet wychylić. Nie lądowały, a kiedy po raz już któryś przelatywały nade mną, strzeliłem do boku ptaka. Za modrym grzywaczem jak biały spadochron wyrosła czasza pierza, a ptak jak kula jeszcze leciał, nim uderzył o rżysko. Stado mimo głośnego huku ponownie nadleciało nad leżącego ptaka. Wówczas to strąciłem drugiego grzywacza.

Pomniejszone o dwa ptaki stado ostatecznie opuściło ściernisko.

Szarża szesnastka

KOŃCZYŁA się połowa października. Welony gęstej mgły okrywały Północny Grzbiet w Górach Kaczawskich. Lasy nocami coraz częściej przyodziewały się w białe szrony, na górze Urwistej, Świerki i Łysej nawet posypało śniegiem.

Te trzy bliźniacze, prawie tysięczmetrowe wzniesienia, od niepamiętnych czasów były zawsze ostojami jeleni, miejscem ich narodzin i wspianiałych godów.

Dziś bezmyślna, ludzka zachłanność wyrwała naturze Łysą Górę i zniweczyła jedno z najwspanialszych rykowisk w tym rejonie. Wycięto tu lasy, ustawiono wyciągi narciarskie, a stoki oświetlono. Całymi nocami pracują armatki śnieżne. Hałas i zgiełk, szum setek samochodów - to dzisiejsza rzeczywistość.

Wszystko to przyczyniło się do opuszczenia swoich ostoi przez prawowitych mieszkańców tego terenu, w tym jeleni, które tu od dawna królowały.

*

Sporo lat wstecz, kiedy jeszcze inwestycji narciarskich nie było, stałem przed domem leśniczego Zygmunta Bały. Błada jasność księżycza zaczęła zalewać łąki pod Janochowem. Naraz zaczął ryczeć jelen. Jego kilka basowych, głębokich tonów jak grzmot przewalało się po zboczach gór. Obaj w milczeniu wysłuchiwalismy tej jesiennej melodii lasu, na którą odpowiedź przyszła natychmiast. Jakiś inny byk z Urwistej ryczał jeszcze donioślej i wspanialej. Widać podjął wezwanie na tę zaczepkę. Znów zadrżał las na Północnym Grzbiecie.

– Rykowisko trwa już od kilku dni – zauważył leśniczy – a to za sprawą tego nagłego oziębienia. Wczoraj wieczorem odezwały się te dwa moje osiemnastaki, które już od kilku lat hoduję. Jeden z nich ma swoją ostoję na Urwistej. Mieszka tam razem z chmarą, która

przywędrowała z Łysej. Jest bardzo ostrożny i nie pozwoli się podejść. Kręci się tam też kilka kapitalnych byków, ale spotkanie z nimi to niedościgłe marzenie wielu selekcjonerów. Bardzo doświadczone wychodzą dopiero po północy, a rykowisko kończą jeszcze przed świtem.

Uważnie słuchałem uwag leśnika, bo kiedy Wojtek, łowczy koła, wręczał mi odstrzał nic o tej górze mi nie wspominał.

U Zygmunta wypiliśmy za mocnej kawie i zamiast pójść na ambonę stojącą na stoku, zgodnie z jego instrukcją, usiadłem w wygodnym fotelu i tak przekimałem do północy. W międzyczasie leśniczy kilkakrotnie wychodził z mieszkania i sprawdzał wiatr, temperaturę i jasność nocy.

– Wstawaj! Księżyc świeci ostro, nie może być mowy o pokazaniu się na stoku! – przerwał moją drzemkę.

Po wyczerpującej instrukcji wróciłem do Chrośnickich Dołów. Górę objechałem prawie wokół i zacząłem podchodzić ryczące byki od północy.

Wybór drogi przez leśniczego okazał się trafny. Wiatr miałem w twarz, wspinałem się skrajem lasu w zupełnym cieniu od poświaty księżyca. Ależ to było łatwe! Zygmunt to bardzo doświadczony leśnik. Sam na pewno bym to spotkanie z jeleniami zepsuł.

Chmarę miałem przed sobą. Żerowało tam prawie ze dwadzieścia łań. Dwa młode byki biegały wokół, hałasowały i nawet ze sobą walczyły.

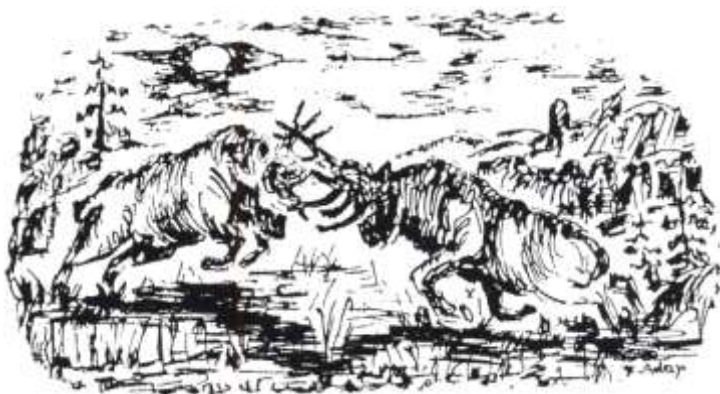
Szedłem stromo pod górę. Co pięć kroków stale sprawdzałem w szklach mej dziesiątki przybliżanie się do jeleni. Tymczasem góra trzęsła się od grzmotu ryków niewidocznych graczy. Przystawałem, uspakajałem tętno i oddech i znów przesuwałem się po kawałku do przodu.

Było bardzo zimno. Srebrna tarcza księżyca żeglowała nad zalesionym szczytem Urwistej. Nagle, blisko przede mną zaryczał jelen. Potem zaczął kaszleć i wydawać nerwowe porykiwania.

Jeszcze dziesięć, dwadzieścia kroków! Jak to było łatwo po-

myśleć, kiedy miało się przed sobą tak emocjonujące spotkanie. Zatrzymywałem się jednak częściej, bo podchód ten wymagał coraz większego wysiłku.

Wcześniej upatrzone miejsce było dobre. Przed sobą miałem garbate wzniesienie, na którym spokojnie skubały trawę łanie z cielakami. Do chmary należały też dwa stare byki. Ten kapitalny stał na urwistym wzniesieniu i dawał koncert swego głosu, przy tym bacznie pilnował łań. Miał doskonały widok na chmarę, nie pozwalał się zbliżać rywalom, choć pomiędzy nimi dochodziło do ciągłych gonitw, a raz nawet starcia. Głośny stuk wieńców niósł się daleko po lesie.



Chmary pilnował Zygmunta pupilek - kapitalny osiemnastak, który był oczkiem w głowie leśniczego. Ciągłe powtarzał mi, że podobnie silnego reproduktora nie ma w całej okolicy. Tej nocy rywalem jego był odstrzałowy dwunastak, chyba mniejszy o połowę, ale zadziorny i skory do ciągłej walki.

Naraz za plecami usłyszałem, trzask gałęzi i powtarzające się szmery oraz pomrukiwania. Serce skakało w piersi, waliło jak młotem! Coś mi kazało załadować kniejówkę. Znow wrogie warknięcia! Oddech dławił i zatykał gardło.

Nie wiedziałem, co robić. Odwrócony tyłem do chmary wytrzeszczałem oczy w ciemny las i bacznie obserwowałem. Staralem

się siłą woli opanować nerwy i strach. Pewno trwało to zbyt długo.

Chyba jednak odstraszę intruza od siebie! Lekko uderzyłem podpórką o kolbę strzelby. Stukot poderwał chmarę. Takiej reakcji zwierząt się nie spodziewałem!

Jak grom z czarnego lasu wyskoczył byk. Z szybkością błyskawicy znalazł się przede mną! Widocznie wziął mnie za swego rywala. Ciężko dysząc rzucał na boki łbem, przy tym rozbryzgując ślinę! Szykował się niewątpliwie do zadania mi ciosu.

Teraz każda sekunda wydała mi się wiecznością, a wściekłość i determinacja byka ciągle narastała. Kiedy ochłonałem z pierwszego wrażenia i próbowałem się wycofać, byk z furią rzucił się w moim kierunku. Trafiony, pozostał na miejscu!

Byłem przestraszony, choć byk już nie żył. Byłem też szczęśliwy. Do szarżującego zwierza miałem zaledwie dziewięć kroków. Jak kamfora znikły ze wzgórza jelenie. Zostałem tylko sam z moim rywalem.

Po godzinie leśniczy szedł do góry. Zauważyłem jego światło latarki. Z jaką ulgą teraz oddychałem i byłem szczęśliwy jak nigdy. Naraz ugięły mi się nogi, chyba z przeżytych chwil i zmęczenia. Gdyby nie kamień upadłbym na łąkę.

Czekałem na leśnika, a kiedy zobaczył byka podszedł do mnie i uścisnął dłoń.

– To twój najpiękniejszy? – spytał.

Potwierdziłem kiwnięciem głowy, bo i tak bym nie wykrztusił ani słowa.

Trefna ambona

W KAŻDYM prawie łowisku jest taki rewir, gdzie myśliwi niechętnie polują. Stoi też taka ambona, na której choć jest solidnie zbudowana, to i tak mało kto usiądzie, czasami z braku łowieckich wyników, innym razem ciągle wyrwanych szczebli w drabinie. Bywa, że prowadząca do niej jedyna dróżka zostanie zarzucona konarami przez huraganowe wiatry lub porośnie wysokimi ostami.

Tak było i z tą amboną, stojącą nad potokiem Radzyńki, która razem ze Świerzawką wpada do Kaczawy. W widłach tych obu leśnych potoków na niewielkim pagórku, ktoś dawno temu wybudował solidną ambonę. Budowniczym był chyba wstępujący do koła kandydat, bo dawniej był taki zwyczaj i obowiązek dla nowych adeptów łowiectwa. Nikt jednak nie zadbał o jej lokalizację, ani o potrzebę ustawienia we właściwym miejscu. Stała z dala od ścieżek dzikiej zwierzyny, nad łąką porośłą ostrą, niejadalną trawą. Smagana deszczem i śniegami, zielona od mchów, była odwiedzana jedynie tylko przez nietoperze i sowy.

Wokół niej narosło już tyle legend i tyle przedziwnych zdarzeń miało tu miejsce, że nawet niechętnie o ambonie mówiono. Faktem było, że kilka lat temu jakiś desperat zakończył w niej życie, a to już było przyczyną jej omijania. Wprawdzie dobrze wkomponowana w leśny krajobraz i gęste lasy, pomiędzy Wojcieszowem a Radzyńniem, stała w rzeczywistości na uboczu myśliwskich wydarzeń.

Kiedy ktoś odkrył, że naprzeciw niej znajduje się cmentarzyisko, systematycznie zaczęto ten teren omijać. Najgorzej, że i zwierzyny, ani jej tropów nie można było się tam dopatrzeć.

Dyrektor miejscowego pegeeru i zarazem właściciel przyległych gruntów, pan Józefczuk, w czasie jednego z polowań opowiadał, że na pagórku, gdzie stoi ambona, w średniowieczu Wojcisz

spalił żywcem cały kartel z ludźmi. Zaraz po wojnie jeszcze stała tam kamienna szubienica.

– Czasami i teraz – mówił - po nocach jeszcze słychać tam jęki, wycia i odgłosy ludzkich kroków. Częściej też bywają huragany i trąby powietrzne, a w tym miejscu Radzynka zamienia się w niebezpieczną, szalejącą rzekę. Są i tacy, którzy przysięgają, że w ciemne, bezgwiazdne noce zza stuletnich świerków, stojących obok, zionie lodowatym powietrzem. W czasie podchodzenia przy drodze wyczuwa się obecność niewidzialnych osób stojących za drzewami. Ci śmiałkowie, którzy siedzieli już na tej ambonie, mogą przyrzec, że coś nią trzęsie, a podpory, na których jest zawieszona, po nocach grają smętne melodie. Strzelcy chybiają zwierzyne lub strzelają do upiorów.

Darek był odważnym myśliwym. Mówił, że te opowiadki to jedynie czcze dyrdymałki, brednie wymyślane przez tych, którzy mieli spotkania z wielkimi odyńcami, mieszkającymi na tym zapomnianym cmentarzysku. Dziki tam mają więcej spokoju niż gdziekolwiek indziej i czują się bezpiecznie. Opowiadał mi też, że jesienią wybrał się w tym obwodzie na czarnego zwierza, a w książce wpisów u leśniczego Rogali wszystkie ambony tego wieczora były zajęte. Pozostała tylko ta jedna - ta trefna.

Nim do niej się dostał musiał pokonać wiele przeszkód. Wnętrze było usłane pajęczynami, wilgocią, a zgniły, nieprzyjemny zapach wypełniał jej wnętrze.

Tą niewygodę jednak równoważył wspaniały widok z okien na dolinę leśnego potoku. Siedział przy otwartym oknie i już pod wieczór, kiedy porządnie przemarzał, niespodziewanie do środka wpadł czarny nietoperz. Zrywając pajęczyny usiadł na suficie jemu nad głową. Darek szybko zamknął okno, a później długo nie działało się nic szczególnego.

Księżyc schował się za chmurami, nastąpiła ciemna noc. A kiedy minęła północ nagle zatrzęsło amboną.

– Obleciał mnie blady strach – opowiadał. – Natychmiast

odbezpieczyłem winchestera i czekałem w napięciu na zbliżającego się ducha. Jednak z dołu tylko głośne stukania, pomruki i piski dało się wyraźnie słyszeć, przypominające zachowanie dziczej watahy. Ostrożnie otworzyłem okno. Próbowałem cokolwiek zobaczyć, ale mój trud był daremny. Pomruki i krzątanie dalej było słychać pod drabiną. Przyłożyłem ucho do mokrej belki i wyraźnie usłyszałem czochrania się o nią i jakieś nieznanne mi piski. Pewien byłem, że pod amboną było zupełnie pusto. Mogłem to teraz sprawdzić, bo zza chmur wyszedł jasny księżyc. Później się wszystko uciszyło, na łące było jasno jak w dzień i pusto aż pod sam las. Naraz na ścieżkę przede mną wybiegły dwa duże borsuki. Były tak zajęte swoimi sprawami, że zupełnie moja obecność ich nie interesowała. Bawiły się schwytanym dużym ptakiem. Zrozumiałem, że zamieszkują pagórek pode mną. Podkopały jej podpory, o belkę wycierają swoje kożuchy, a to ich zachowanie przenosi się po wilgotnym drewnie do wnętrza ambony. Stąd w zupełnej ciszy ta borsuczka muzyka, jak w głośniku, czy słuchawce, brzmi dość zagadkowo i jest denerwująca.

Borsuki naprzeciw strumyka i łąki miały swoją spiżarnię. Wybierały ptasie gniazda, chwytaly małe zajaczki, jesienią wykradły z pól kukurydzę. Robiły to jednak w zupełnej tajemnicy i czasami swym głośnym zachowaniem wzbudzały strach. Spały całymi dniami i tylko nocą wychodziły na łowy. Ich chód do złudzenia przypominał ludzkie kroki, a przemieszczanie się tyłem w księżycowej poświacie wydawało się nienormalne i straszne. Rozmnożyły się też nadmiernie.

Po przeżyciu tak silnych wrażeń spokojnie oparłem lornetkę o parapet okna i przyglądałem się z zaciekawieniem obu borsukom.

Upłynęło jeszcze kilka minut, kiedy oba zwierzęta zatrzymały się przy nadbrzeżnej skarpie. Księżyc rzucał na nie srebrne cienie. Nagle w leśnej ciszy rozległ się głośny skowyt, pisk i szczekanie. Trwała walka obu borsuków z lisem, który im usiłował odebrać przyniesionego ptaka. Bój był zażarty. Oba siedziały na ziemi i broniły się łapami, odganiając atakującego lisa. Wrzawa była tak głośna, że ściągnęła nawet sowę, która również zaczęła atakować

borsuczą zdobycz.

Postanowiłem tę walkę przerwać. Dokładnie wycelowałem czarnym krzyżem lunety na jasny kołnierz lisa i przycisnąłem spust. Głośny huk przewalił się po górach. Lis, który był wielkim szkodnikiem na tym terenie, naraz zapadł się pod ziemię. Skarpa i łąka przede mną stały się puste jakby nic się nie zdarzyło.

Kiedy o świcie zszedłem z ambony pod skarpą znalazłem martwego borsuka i uśmierconego jarząbka, który tutaj był ptakiem chronionym.

Borsuka portret uwieczniłem na pniu starego drzewa, a skóra jego przez wiele lat zdobiła pokój leśniczego razem z spreparowanym jarząbkim.

I jak tu nie przyznać racji tym, którzy tę ambonę nazywali „trefną”!

Tak zakończył swoje opowiadanie Darek. Jednak pomyłki z lisem nigdy nie umiał logicznie wytłumaczyć.





Strzał w dziesiątkę

PIERWSZE zbiorowe polowanie w tym roku odbyło się w obwodzie leżącym przy autostradzie biegnącej do Wrocławia. Na zbiórce przed leśniczówką było gwarno i wesoło. Spodziewano się dobrych wyników.

Tego dnia przyjechało jednak więcej osób niż łowczy miał kartek do losowania stanowisk. Swój numer grzecznie przekazałem z powrotem do kapelusza i oddałem się do dyspozycji prowadzącego spotkanie, prosząc żeby dał szansę młodszym adeptom myślistwa. W zamian łowczy wyznaczył mi odległy przesmyk na Południowym Grzbiecie Gór Kaczawskich, dodając, abym tam siedział do oporu.

Wiedziałem co to oznacza. Co najwyżej usłyszę huk i ewentualnie spotkam dzika uchodzącego z miotu. Nie będzie innego kontaktu z kolegami, ani wspólnego ogniska i pieczenia kiełbasek. Aż do samego wieczora będę sam.

Nie martwiłem się jednak zbyt, bo podobne przesmyki, z braku kartek, otrzymali jeszcze dwaj inni koledzy.

Tym rejonem opiekował się Gustek. Dość skrycie przekazał mi informację, abym pilnował drugiego strumyka. Tam będę miał szansę na spotkanie sporej wielkości odyńca, który z miotu najczęściej tamtędy uchodzi. Jest jednak nadzwyczaj ostrożny i na wąskiej drodze nie da łatwo sprzedać swego kożucha.

Odmeldowałem się i szutrową drogą, wśród niewielkich lasków, jechałem do Chałup, a stamtąd pod Przełęcz Radomierską. Krajobraz był pagórkowaty i lesisty, a barwami jesieni przyozdobione lasy radowały wzrok. Ich czerwień kończyła się daleko, bo aż pod skalnym grzbietem Karkonoszy.

Ranek wstawał cichy, jesienny, zza gór sączyły się dopiero pierwsze promienie słońca.

Zgodnie z radami kolegi, pozostawiłem auto przy pierwszym potoku i pieszo udałem się nad drugi, który dość gwałtownie spływał z gór. Obok niego biegła leśna droga. Kończyła się na pustym polu. Po obu stronach obsadzona była lasem z brzoźek pomieszanych ze świerkami, a gęste poszycie utrudniało wgląd do jego wnętrza.

Niepotrzebnie wcześniej szukałem dziczej ścieżki. W ten sposób przegapiłem dwa przelatki, które błyskawicznie przeskoczyły przede mną drogę. Od razu przed sobą się usprawiedliwiałem, że i tak bym nie zdążył strzelić do nich, bo stało się to tak nagle i bezszelstnie, że nie mogło zwrócić mojej uwagi.

Czekałem spokojnie na następną okazję. Oczy już zmęczyłem ciągłym wpatrywaniem się w las. Stawałem się zmęczony tym nieruchomym staniem, jak szeryf ze strzelbą gotową do strzału. Następną godzinę już przesiedziałem na trójnogu, a przede mną nadal nie było żywej duszy. Wprawdzie słyszałem parę wystrzałów daleko w miocie, ale tu panowała usypiająca cisza.

Kiedy straciłem już nadzieję na dzika, daleko na drodze pokazał się lis, który spokojnie baraszkował za myszami. Szybko ustawiłem naprzeciw siebie kamerę, a elektroniczny samowyzwalacz wcisnąłem pod but. Wierzyłem, że lis mnie nie zauważy i przyjdzie obok, a wówczas uruchomię migawkę aparatu. Zrobię fotografię,

jakiej jeszcze nie mam w swych zbiorach! Czekałem dość długo. Aparat pomierzył światło. Czerwona dioda stale sygnalizowała jego gotowość do strzału.

Nawet byłem zadowolony z mego pomysłu. Kiedy jednak lis niespodziewanie przeskoczył drogę, a ja nawet nie zdążyłem wyzwoić migawki, byłem załamany!

Nagle gęsty świerk, stojący przy drodze, wyraźnie się zachwiał i na drogę wyjechał wielki odyniec. Zamiast strzelić go na komorę, przycisnąłem butem kontakt aparatu. Później dopiero usłyszałem huk z mej kniejówki.

Drzazgi z roztrzaskanego pnia rozprysły się obok, a dzik zdrowo poszedł z powrotem do miotu.

Jaki wstyd! Ale pudło! Z takiej bliskiej odległości nie trafić odynca? A jeżeli jeszcze moja kamera zrobiła to podobnie, to lepiej przestać w ogóle polować!

Nawet nie poszedłem sprawdzić. Roztrzaskany pień świadczył dobitnie o sprawności mojego oka. Potem jeszcze długo słyszałem chrząkającego z niezadowolenia, oddalającego się dzika.

Resztę dnia przesiedziałem na przesmyku i gdyby nie grzybiarze, chyba bym został tam do nocy. Chciałem ten obraz, to zdarzenie, choć dla mnie przykre, zatrzymać w pamięci jak najdłużej.

Następnego dnia radość moja była wielka i niespodziewana, kiedy ujrzałem mego odynca na świeżo, wywołanej fotografii. Mimo pudła, strzał był jednak w dziesiątkę!



Magiczne miejsce

JEST taka polana w Górach Kaczawskich, którą chętnie odwiedzam i do której z przyjemnością wracam. Ma coś w sobie z tajemniczości i powagi. Czuję się tu wspaniale! Z miejsca tego emanuje jakiś wielki przyływ dodatniej energii, który pobudza do pozytywnego myślenia i spoglądania na świat.

Dawno temu ustawiono tu nad strumieniem ambonę i zawieszono pomiędzy niebem a ziemią. Atmosfera jej wnętrza też koi i uspakaja, a plusk wody tłumi wszystkie głośnie niedoskonałości ludzkiego zachowania. Wokół niej, jak w soczewce, skupia się różnoraki krajobraz - pola, łąki, młodniki i sędziwe drzewa. Przychodzą tu wszystkie dziko żyjące zwierzęta z Północnego Grzbietu, aby najeść się do syta.

Ambona stała się dla mnie czymś bardzo ważnym, osobistym. Mam też do niej wielką sympatię, może dlatego, że pomagałem ją budować. Potem przesiedziałem na niej wiele nocy, często w mrozie

i słońcu. Może też, dlatego ją tak polubiłem, że z niej strzeliłem pierwszego odyńca i zdobyłem medalowe parostki rogacza. Byłem tutaj świadkiem wielu epizodów przyrodniczych, odkryłem sporo nowych, leśnych tajemnic i uczyłem się dla nich pokory i szacunku.

Było to dla mnie od dawna miejsce zagadkowe i magiczne! Jej szczeliny do dziś noszą ślady odcisniętych obiektywów przy łowach z kamerą, a wykonane tu fotografie zdobywały znaczące miejsca w konkursach przyrodniczych.

Jednak to magiczne miejsce, ta ambona, utkwiała w mej pamięci najbardziej przez taką zwykłą przyjaźń z Grażyną.

Chyba to było w roku siedemdziesiątym. Dziewczyna otrzymała pracę w zakładach chemicznych. Była świeżo po politechnice, zgrabna, o niecodziennych rysach twarzy i wysportowanej sylwetce. Zapoznałem się z nią przypadkowo w czasie przygotowywania wystawy fotografii.

– Ja tobie pomogę – powiedziała niespodziewanie, a ty mnie zaprosisz na dziki.

Zgodziłem się natychmiast, bez wahania, bo jak bym mógł odmówić takiej damie.

Kiedy jednak się rozstaliśmy dopiero doszła do mych zmysłów ta nieprzemyślana decyzja wspólnego polowania. Jeżeli nie ma być to polowanie udawane, a jak mówi doświadczony kolega Krzysiu, jeden myśliwy w lesie to jeden za dużo, muszę coś zrobić, aby się nie skompromitować przed nią.

Na pewno będzie spodziewać się wyników, bo to młoda i ambitna dziewczyna, idąca od sukcesu do sukcesu. A jak ciężko spotkać się z odyńcem wiedzą tylko myśliwi, którzy przesiadują po kilka nocy nad polami i często bez efektu.

Jak ja sobie z tą panienką teraz poradzę? Myśl ta zaprzętała mnie przez wiele następnych dni.

Wówczas to przypomniałem sobie o tym magicznym miejscu. Nie wiedziałem teraz jak ono wygląda i czy ambona nie będzie zajęta - przecież to okres rykowiska jeleni. Może ta drewniana chatka nad

strumieniem pozwoli mi w spełnieniu marzeń tej dziewczyny, a mnie uratuje honor?

Wieczór był chłodny. Szron i siwy nalot okrywał opłotki leśniczówki w Maciejowej. Srebrzyły się też łąki odgradzające ją od zielonego kompleksu leśnego.

Leśniczy zapytał, w który rejon wybieram się tego wieczoru. Widząc, że nie jestem sam polecił wygodną chatę Gustka.

Nie, dziękuję – powiedziałem. Chcę pójść na ambonę przy strumyku.

Zwiesił głowę, zdjął czapkę i po chwili z przekonaniem oświadczył: – Parę dni temu skończyliśmy tam karczowanie resztek wiatrołomów po zimowych huraganach. Co ty chcesz szukać na tej ambonie? Chyba od miesiąca nikogo tam nie było!

Teraz i ja zwiesiłem głowę.

– Do wieczora daleko, to jeszcze się zastanowisz – dodał gospodarz.

Wydeptaną ścieżką szliśmy przez te wertepy na przełaj, później drogą i poletkiem. Skakaliśmy przez strumień. Grażyna wylądowała jedną nogą w potoku. Woda chlupnęła wysoko, oblała jej ubranie Widać, że była twarda. Nie powiedziała ani słowa skargi!

Zaproponowałem chwilę odpoczynku. Zgodziła się usiąść na wywróconym drzewie. Była bardzo rozmowna. Najchętniej mówiła o swoim dziadku i rodzinie, o tym, że w niej polowano zanim się urodziła.

Umiłowanie lasu i przyrody noszę we krwi – stwierdziła.

Zresztą w naszej rodzinie nie było męskiego potomka, to, komu miano przekazać łowieckie tradycje? Dla mnie to przygoda! Na jakiś czas musiałam z tej przyjemności zrezygnować. Tutaj wydaje się jeszcze ciekawiej niż w rodzinnych moich stronach. W górach jest świat małych przestrzeni, muszą pracować wszystkie zmysły, aby to piękno ogarnąć i przeżyć. Myślę, że łowiectwo uczy pokory, a inne sprawy wydają się maleńkie w porównaniu z przyrodą.

Na pewno słuchałbym dłużej jej zwierzeń, ale mieliśmy jeszcze spory kawałek drogi do pokonania, bo wieczór zbliżał się szybko.

Zanim weszła do środka ambony, długo się jej przyglądała. Nie wiem czy nie była zdecydowana, czy też przypominała jej podobną z rodzinnych stron.

Widok z niej roztaczał się bajkowy. Srebrzyło się ściernisko, resztki dymów ze spalonych ognisk włóczyły się po lesie. Żółte liście zabarwiły się po brzegach czerwienią i złotem.

– O młoda duszo raduj się - po cichu wyszeptwała moja towarzyszka łowów i popatrzyła podejrzliwie na mnie. – Ta strofa pochodzi ze znanej piosenki – szybko dodała.

A Północny Grzbiet milczał, czasami tylko gdzieś bardzo daleko hukała sowa. Zmrok gęstniał coraz bardziej. Nad Komarnem jęły się rozżarzać pierwsze gwiazdy i rąb księżycy wysunął się znad Barańca.

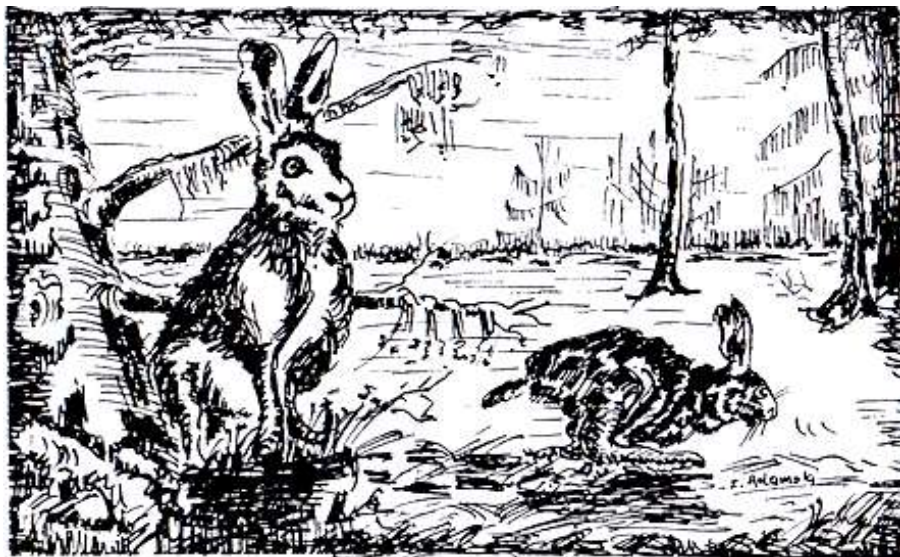
Z głębi zrębu dało się usłyszeć ciche pomruki, tępy kaszel i chrząkanie. Na łąkę wychodziła chmara jeleni. Naliczyłem ich ze dwanaście sztuk. Grażyna była zachwycona, trzęsła się jak w ekstazie. Naraz powiedziała:

– Pocałuj mnie. Zobacz jak księżyc na nas dziwnie patrzy. Muszę przyznać, że nigdy tu tyle jeleni nie widziałem i uwierzyłem, że magiczne miejsce jeszcze raz mnie wysłuchało. Odkryłem byka, który dawał popis swego głosu blisko naszej ambony. Jego potężny, zachrypnięty głos obwieszczał niezadowolenie z kręcącego się na ściernisku rywala.

Oboje z przejęciem oglądaliśmy te frapujące sceny. Naraz jakieś wielkie ptaszysko z myszą w dziobie wpadło w nasze okno i siadło na parapecie. Grażyna się osunęła na ławkę. Nie wiedziałem, co robić. Wielka, przestraszona sowa jeszcze z większym szumem skrzydeł wystartowała i odleciała. Na oknie pozostała pokrwawiona mysz. Krzyk Grażyny sprawił, że łąka przed nami tej nocy opustoszała całkowicie!

Kiedy wracaliśmy, dziewczyna przeproszała za głośne zachowanie. Stwierdziła, że do ręki może wziąć żabę, ale myszy się brzydzi!

Co miałem powiedzieć? Wybaczyłem. A pocałunek w tym magicznym miejscu zapamiętałem na zawsze!



Diabelski krater

DAWNO temu pomiędzy szczytami Skowrona i Popielina nad Bobrem spadł sporej wielkości meteoryt. Opowiadał mi o tym leśniczy Dziadowicz:

– Wiem to ze zwierzęcej księgi, która mi wpadła do rąk zaraz po wojnie, kiedy obejmowałem leśniczówkę. – mówił.

Była chwila przerwy pomiędzy miotami, a my siedząc przy ognisku z zaciekawieniem i niedowierzaniem słuchaliśmy zwierzeń leśnika. Mieliśmy właśnie brać miot, w którym to znajdował się ów diabelski krater po meteorycie. Kiedy bliżej popatrzyłem się na krajobraz, który teraz miałem przed sobą, jakoś wszystko się zgadzało z jego słowami i było prawdopodobne.

Przedemną ponad sto metrów bieгло wzniesienie pod górę i kończyło się obwarzankiem z ziemi i skał. Obrosnięte gęsto jeżyną i karłowatymi dębami strzegło dostępu do wnętrza. U dołu rżyska srebrzyły się w jesiennych szronach, a spłoszone zające rwały pod górę, jakby tam szukały ocalenia przed strzelbami myśliwych.

Wszyscy ten szczyt omijali - albo z lenistwa, nie chcąc męczyć się dodatkowo, albo też nie przewidywali tam spotkania ze zwierzyzną. Psy, które brały udział w pędzeniu tego miotu, postępowały podobnie i omijały koronę wzniesienia.

Było to dla mnie dziwne. Z trudem wdrapałem się na górę. Z ciekawości chciałem zobaczyć wnętrze krateru. Panował tam półmrok i tylko na samym dnie połyskiwało małe lusterko, źródlanej wody, gdzie, według słów leśniczego, miał zamieszkiwać diabelski, krnąbrny zwierz.

O zejściu do krateru nie mogło być mowy. Było stromo i niebezpiecznie. Zrobię to innym razem - przyrzekłem sobie, przedtem jednak jeszcze porozmawiam z leśniczym

Później nastały dni słotne i dżdżyste. Kiedy spotkałem Dzia-

dowicza z ciekawości zapytałem o ten krater. Popatrzył na mnie, trochę się zastanawiał i odrzekł:

– Lepiej daj pan temu spokój, albo popytaj się gospodarzy, którzy mają tam pola i pretensje do mnie za ciągle szkody w uprawach! W Grabarowie mówią, że mieszka tam diabelski, krnąbrny zwierz. Stamtąd nie wracają psy i krowy. Na tę piekielną górę nie chcą wchodzić. Ziemniaków nie sadzą, bo wszystkie byłyby wyorane przez dziki. Mówią, że zegarki się zatrzymują. Ktoś mi nawet opowiadał, że wskazówki kompasu obracają się jak by były podłączone do silnika.

Myślę, że w tym kraterze musi tkwić magnetyczny meteoryt i on to chyba powoduje te zjawiska. Niektórzy nawet chcą dać wiarę, że on zmienia tor lotu pocisku, bo tu jeszcze nikt dzika nie strzelił, a przecież niemałe lasy rosną wokół. Jak sobie przypominam, pisano, że w średniowieczu mieszkał tam brunatny niedźwiedź. Ale czy to prawda? Kości tych zwierząt jednak wiele tu znaleziono.

Był jesienny, chłodny ranek. Mgły wisiały nad łąkami. Od samego świtu pilnowałem ścierniska obok krateru. Nic się ciekawego nie działo, choć gryzoni wokół było pełno, bo pustułka kilkakrotnie obniżała lot i spadała za zdobyczą na ziemię.

Pomyślałem sobie, że zdziesiątkowano tu zwierzynę, a teraz usprawiedliwia się jej brak meteorem i zakłóceniami równowagi przyrody. Przecież nie tak daleko, nad potokiem Bełkotki, saren żyje ponad pięćdziesiąt, a tu ani jednej.

Niespodziewanie pociemniało. Horyzont nakryła czarna chmura, a łąki przed kraterem zatopiły mgły. Taka szarówka trwała z pół godziny. Potem wydmuchał ją wiatr. Na ściernisku ukazał mi się wielki, czarny jak smoła odyniec. Był niedaleko mego stanowiska. Wiatr miałem od niego, odstrzał w kieszeni, byłem więc spokojny o jego szable.



Powoli rozstawiłem podpórkę, wcześniej obejrzałem wszystko w lornetce. Kniejówkę stabilnie oparłem o siodełko, krzyż lunety naprowadziłem precyzyjnie na komorę i dotknąłem spustu. Potworny huk uderzył o krater i powrócił do mnie ze wzmożoną siłą. Dzik widać jego nie usłyszał i nic nie zauważył. Przesuwał się spokojnie dalej po rżysku do przodu. Zdenerwowany wprowadziłem do komory następny nabój i powtórzyłem. Pudło! Odyniec zwyczajnie dalej ze mnie drwił!

Przecież nikt mi nie uwierzy, żeby na pięćdziesiąt metrów nie trafić w taką szafę? Nerwowo obmacałem wszystkie kieszenie i jak na złość nie znalazłem nowego pocisku. Wielka szkoda!

Ostatkiem zdrowych zmysłów chwyciłem za kamerę, szarpiąc się z plecakiem. Wreszcie była wolna! Włączyłem automat. Podświadomie czułem, że dzika dawno już na ściernisku nie ma!

Jednak był! Szedł wolno w moim kierunku, prosto w zalegające dalej mgły. Chwyciłem go w celownik. Był wielki! Przycisnąłem spust na serię trzech klatek filmu i ponowiłem zbliżenie

Naraz dzik jak rażony kulą ekspansywną rzucił się do przodu! Przebiegł obok mego stanowiska zaledwie o trzydzieści kroków i zginął we mgle!

Sprawdzać czy jest farba nie musiałem, bo to okaże się dopiero po wywołaniu filmu.

Wracalem do domu wlasnie zadowolony z udanego polowania. Jednak, jezeli okaże się, że to wszystko bylo tylko halucynacja, to wstyd będzie przed kolegami niemały!

Na pewno strzalam do odyńca. Świadcza o tym dwie puste huski, a teraz to juz niewazne czy z kuli, czy tez z kamery! Niecierpliwilem się bardzo!

Naraz wielka radość! Zdjęcia są ostre! Widać na nich resztki zalegającej mgły pod kraterem, a na ich tle biegnącego diabelskiego i krnąbrnego odyńca, który się kulom nie kłaniał. Jednak oszukać kamery nie umiał!

Myśl o spudłowaniu dzika prześladowuje mnie do dzisiaj. Coś z tego magnetycznego meteorytu musiało tu być naprawdę, bo gdyby nie to, jego medalowy oręż wisiałby u mnie na pewno na ścianie!



Rankiem po ponowie

OD samego ranka znów sypało śniegiem. Wielkie puszyste płatki tej nocy pokryły od nowa białym całunem pola i lasy. Zmieniły brudny dotąd krajobraz wokół leśniczówki w bajkowy, jakby utkany z białej cukrowej waty. Gałązki świerków i rozłożyste konary buków mimo swej potęgi, obarczone teraz dodatkowym ciężarem, uginały się wstydliwie ku ziemi.

Nikomu nawet nie przyszłoby do głowy by wchodzić do wnętrza lasu, tak, więc wybór terenu polowania pozostawał jeden. Musimy zaryzykować na polu, by nie wracać do domów, a co do tego już wszyscy byli zgodni. Zostajemy – zadecydowano. Polowanie na szaraki było dobrym i jedynym rozwiązaniem. Pierwsze tego sezonu musiało się udać, choć ci, co przywieźli tylko sztucery protestowali, ale kiedy popatrzyli na zaśnieżony las i naganekę, z opuszczonymi głowami stwierdzali, że wyboru nie było!

Po odprawie kawalkada samochodów stanęła na jedynym odśnieżonym kawałku drogi przy Dąbrowicy. Śnieg każdego niemal roku zalegał tu grubą warstwą i sypał więcej niż gdzie indziej. Jego biały puch zwiewał też wiatr z Jeleniej Skały i niósł po zboczach oraz na pola, pogrubiając jego warstwę.

– Wziąć z górą dwa mioty – mówił łowczy – Naganka dłużej nie będzie chciała brnąć w tym puchu.

Na chwilę nawet zaświeciło słońce i rozwiało wszelkie wątpliwości. Poprawiły się humory, przestali protestować ci, którzy może po raz pierwszy musieli polować na szaraka ze sztucерem.

Miano rozpocząć miot od samego Bobru, wziąć Górę Kozińnic i zejść na bagienne łąki, teraz ukryte pod grubym kożuchem śniegu.

Był tu od lat dobry, zajęczy teren. Postarał się o to PGR w Januszewicach, uprawiając dużo roślin okopowych, bobu i kapu-

sty. Mimo śnieżnej aury i zimnego wiatru spodziewano się dobrego rozkładu kotów. Ustalono nawet, że po jednym gachu przypadnie na strzelbę, obojętnie czy śrutową, czy kulową. Tą decyzją napięcie całkowicie rozładowano i myśliwi stanęli zdyscyplinowanie na wyznaczonych stanowiskach.

Przez pierwsze dwie godziny nic się nie działo, jedynie zdążyliśmy się okopać w sypkim puchu. Niektórzy nawet przyodziali się w białe kombinezony i zupełnie znikli w krajobrazie. Teren przed linią był pofałdowany, toteż ukazujące się na moment sarny ponownie znikwały. Moje stanowisko przypadło na czystym polu, obok zasypanego strumyka. Dalej stała wierzba, a pod nią następna strzelba.

Razem z terkotaniem kołatek pokazało się na wzniesieniu kilka szaraków. Dwa z nich skierowały się prosto na mnie i Jurka - sąsiada z lewa, którego lufa załadowana były nabojami sztucerowymi. Widząc nasze niezdecydowanie zmieniły kierunek na sąsiada pod wierzbą i oba tam na śniegu pozostały.

Miałem tylko tą przyjemność, że mogłem je potem sfotografować.

Dalej oczekiwałem na swój szczęśliwy los. Razem z sąsiadem z zaciekawieniem przyglądaliśmy się popisom szaraków i myśliwych, bo kilka z nich niespodziewanie minęło linię i bezpiecznie opuściło pole. Mimo gęstej palby jakoś zającom się udawało. W duchu obaj na pewno żalowaliśmy, że tego dnia byliśmy bez broni śrutowej, bo kto by się spodziewał polować niezgodnie z planem. A ten przewidywał polowanie na dziki!

Znów minęło sporo czasu. Naganiacze brali już ostatnie wzniesienie, kiedy przed linią wypadł odyniec. Nie zastanawiając się wiele rwał zajęczym tropem, jakby przeczuwając, że tylko tędy może uratować swoją skórę. Stanął w bezpiecznej odległości i długo tabakierą wodził pod wiatr. Chyba chciał wyczuć, w której strzelbie jest śrut, a w której śmiercionośne kule.

Ten jego spokój zachwycił wszystkich, co na niego czekali. Trwało to dość długo, bo na strzał z ręki było za daleko. Ukryci cze-

kaliśmy na swoje szczęście, które mogło się zdarzyć w biały dzień.

Dzik chyba dobrze rozpoznał zasadzkę i bezbłędnie swym siódmym zmysłem, nie znanym myśliwym, ocenił gdzie kula, a gdzie śrut i pewna ręka. Potem jak burza ruszył na nemroda ze śrutowym nabojem, załadowanym do obu luf jego dwunastki.

Ten nieszczęśnik nawet się nie spodziewał takiej szarży. Odpalił z obu luf, ale w niebo, dla ratowania swojej skóry i odstraszenia napastnika. Odskoczył w bok, przy tym wywrócił się, bo omal odyniec nie wpadł na niego.

Za linią naraz rozległa się kanonada, ale przebiegły odyniec, otoczony białym, śnieżnym puchem, rwał do przodu bezpiecznie, dopóki nie zginął w kępie drzew.

Po skończonym miocie pechowemu strzelcowi trudno było cokolwiek mówić. Stał przerażony i mokry, mimo kilkustopniowego mrozu. Humor dopiero odzyskał, kiedy łowczy wręczył mu obiecane szaraka i poklepał po ramieniu, dodając, że był bohaterem dzisiejszego polowania!



Nie tylko wigilijne polowanie

NOC, cudowna śnieżna noc, zwiastująca Wigilię Bożego Narodzenia, była pierwszą grudniową, która otuliła lasy i łąki w śnieżną, białą szatę.

Tego dnia do naszego koła przyjechało na polowanie o wiele mniej myśliwych niż tradycyjnie. Zresztą tak bywało każdego roku. Był to dla wielu z nich dzień rodzinny, poświęcony przygotowaniom do wieczery, świąt, ubieraniu choinki. Była jednak niewielka, choć stała grupka, która każdego roku w tym dniu brała udział w opłatkowym polowaniu. Dawniej bywały to wyprawy na szaraki, a kiedy zaczęto je ochraniać, już tradycyjnie od wielu lat opolowuje się jeden lub dwa pewne mioty na dziki. Łowczy w tym dniu zaproponował młodniki na północnym zboczu Gór Kaczawskich, zwanym Leśną Amboną.

Jeszcze z samego rana wielkie płatki śniegu powoli opadały na ziemię, tworząc grubą warstwę świeżego puchu. Dzień wstawał bezwietrzny, dostojny i uroczysty. Dopiero później na niebie ukazały się pierwsze chmurki, przez które sączyły delikatne promienie słoneczne.

Samochody ustawiliśmy przy drodze do Radzyna. Było nas niewielu, dyscyplina przykładowa. Bez szmerów i dyskusji wykonywano wszystkie polecenia łowczego. Chcieliśmy wziąć wcześniej otropione dwie świerkowe szczotki, gdzie tej nocy miał zalegać duży odyniec.

Połowanie mieliśmy zakończyć wcześniej niż zwykle, bo gdzieś około czternastej, aby potem złożyć sobie życzenia i podzielić się opłatkiem. Łowczy poprosił mnie, abym zostawił kamerę, bo nie będzie czasu na fotografowanie. Dodał, że wszystko musi odbyć się sprawnie, abyśmy mogli zdążyć do domów przed pierwszą gwiazdką.

Emocje myśliwskie rozgorzały na wieść o wielkim odyncu w zasypanym białym puchem młodniku. Jak najszybciej ruszyliśmy na linię w kompletnej ciszy i zajęliśmy same dobre miejsca. Wiedziałem, że leśnictwo Lubiechowa słynie z obfitości czarnego zwierza, co jeszcze bardziej podgrzewało i dodawało adrenaliny.

Ten miot gwarantował pewny sukces. Już strzały słychać było wśród ośnieżonych choinek, gdy na linię wyjechał rudy lisiura. Chytrze jednak wywinął parę nagłych zakrętów i sprytnie nie złożył daniny swego futra, mimo huku i wysiłków strzelców.

Dochodziło południe. Niebo się rozchmurzyło, słońce stanęło nad górami i szybko topiło świeży śnieg.

Nagle poczułem, że krew uderza mi do głowy! Odyniec pędzi wprost na mnie! Podnoszę kniejówkę i już mam przycisnąć spust, gdy dzik roluje jak zając. W śnieżnej kurzawie i potwornym huku ze sztucera mego sąsiada wypadł na łąkę i tam pozostał. Jeszcze przez chwilę bronił się przed psami, ale to już był jego koniec.

Moja rola się skończyła. Pomimo, że dzik szedł wprost na mnie, nie dano mi szansy na spotkanie z nim. Tak jego widokiem

byłem pochłonięty, że w ostatniej chwili wyskoczył pod moje nogi lis i uszedł cały.

Las już zdążył zszarzeć, zrzucił z siebie ciężkie czapy świeżego puchu. Śnieg szybko się rozstępował, odkrywał łąki i drogi, za to dotąd wyschłe strumienie napełniły się wodą, spływającą gwałtownie w dół.

Wieść o strzelonym odyńcu rozeszła się lotem błyskawicy. Ktoś na lufach dubeltówki odegrał koniec polowania. Na polanę przyciągnięto wielkiego odyńca, chyba ponad dwieście funtów wagi.

Młody szczęściarz uklęknął przed nim, a najstarszy wiekiem myśliwy wręczył mu złom i szczerze pomalował farbą jego twarz. Na czarnym jak smoła kozuchu dzika ułożono osiem odłamków opłątka, z czego jeden powędrował razem z gałązką świerku do pyska dzika.

Na pewno to polowanie by się tym uroczystym akcentem i życzeniami zakończyło, gdyby nie wydarzenia, które nastąpiły potem i przedłużyły je o następne wiele godzin!

*

Przy otwieraniu samochodu okazało się, że brakuje w nim pozostawionej kamery. Mój szok był zrozumiały, a koledzy postanowili mi pomóc i nie zostawić mnie z tym problemem. Szybko zdecydowano, że przy świeżych tropach na śniegu i piaskach będzie można ustalić sprawcę tej zuchwałej kradzieży.

Śladów włamania nie było żadnych, poza odcisniętymi obcymi butami na śniegu. Szybko podzielono się na dwie grupy. Jedna z psami weszła na tropy w las, druga samochodami jechała w kierunku domniemanego przesuwania się sprawcy.

W lesie okazało się, że trop był zamazywany ciągnioną choinką. Jednak bez trudu odkryto, że prowadził do oddalonej o ponad kilometr wsi. Na drodze spotkały się obie grupy, bo roztopiony śnieg i płynąca wartko woda zamazały doszczętnie resztki śladów. Nie było zatem dalej co szukać!

Zdecydowaliśmy się na skontaktowanie z sołtysem. Ten przez chwilę się zastanawiał, a widząc na swoim podwórzu tylu ubranych w moro myśliwych zaprosił ich do wnętrza izby.

Znając życie wiedziałem, że kamera przepadła raz na zawsze, a w niej film ze scenami z uroczystości Hubertowskich i zdjęcia jeleńni zrobione z ambony. Teraz przypominałem sobie ile tam jeszcze różnych innych fragmentów przyrody bym się mógł doliczyć.

Koledzy naraz stali się jakby profesjonalistami. Zadawali zwięzłe pytania sołtysowi i oczekiwali takich samych odpowiedzi.

Gospodarz słuchał ich w skupieniu i tylko zapytał:

– Czy zamek w drzwiach samochodu wyrwano, czy też otwarto kluczem? W naszej wiosce jest dwoje takich artystów, do których ta kradzież pasuje. Pozwólcie, że pojedę do nich. Jeden jest mechanikiem w warsztacie samochodowym, a drugi nieźle sobie radzi z otwieraniem zamków i to bez kluczy.

W gospodarstwie mechanika samochodowego paliły się już lampki na choince ustawionej przed domem. Oczekiwano raczej św. Mikołaja, a nie sołtysa i myśliwych. Pozostał jeszcze ten od zamków! Kiedy i tu stanęliśmy przy płocie gospodarstwa, już z daleka było słychać płacz i lament staruszki i słowa, które wryły mi się w pamięć, że „przy Wigilii nie wypada kraść”. Rzuciła się przed sołtysem na kolana i przepraszała nas gorąco, zalana płaczem za niegodne czyny jej wnuka Franka. Twierdziła, że odziedziczył te praktyki po swym dziadku.

Kiedy wreszcie przyprowadzono mocno wystraszonego młodzieńca na chwiejących się nogach, poleciła mu, aby razem z sołtysem poszedł na strych i przyniósł kamerę.

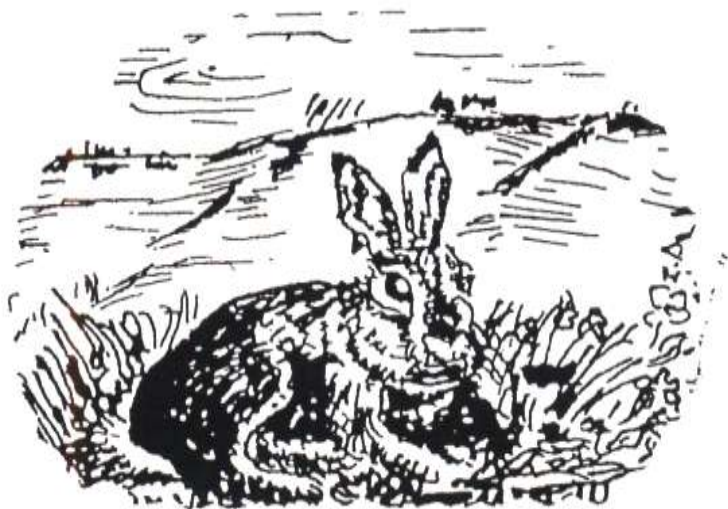
Sołtys wyjął ją zza belki na poddaszu, ze wskazanego miejsca przez Franka i uroczyście przyniósł, wzbudzając podziw myśliwych. Przekazanie jej odbyło się we wnętrzu izby przy nakrytym do Wigilii stole, z talerzami pachnącej zupy grzybowej i rozłożonym opłatku.

To, co wówczas sołtys miał do powiedzenia gospodarzom i ich wnukowi już nie słyszałem, tak bardzo cieszyłem się z odzy-

skanej kamery. To był w owym roku mój najwspanialszy podarunek pod choinkę, wprowadzie w obcym domu, ale prawdziwą, pachnącą górskim lasem.

Do dzisiaj noszę w pamięci ten dzień i widok mokrego ze strachu Franka oraz jego babci klęczącej przed sołtysem, błagającej o przebaczenie obok zapalonej choinki.

Sołtys sporządził notatkę służbową. Po latach dowiedziałem się, że powiadomiono szkołę o tym wydarzeniu i że potem Franek był jej wzorowym uczniem. Przez lata nie miano z nim najmniejszych kłopotów. W nadleśnictwie każdego roku brał udział w sadzeniu drzewek, a w czasie polowań chętnie chodził do naganki.



Gamrat z Urwistej

PODOBNO ta dzika bestia warta jest strzału – powiedział leśniczy Bała z Janochowa. – Chyba nie ma drugiego takiego gamrata, któryby byłby tak znienawidzony przez tutejszych gospodarzy.

Żył na Pogórze Kaczawskim, na południowym grzbiecie gór. Tam z wielkim trudem rolnicy po wojnie wyrwali spomiędzy skał i wąwozów liche poletka pod uprawy, nie zadając sobie sprawy z tego, że roilo się tutaj od dzików.

Polowano na nie, lecz tego szkodliwego odyńca trudno było znaleźć. Przyczyn było wiele, przede wszystkim ciężki teren - żleby, skały, wysokie wzniesienia porośłe ciernistymi jeżynami.

Dzik swą skórę ratował inteligencją i wrodzoną skłonnością do unikania człowieka.

Były takie rejony, gdzie z góry rezygnowano z polowania, bo czarny zwierz miał tam swoje tajne przesmyki i sprytnie uchodził. Myśliwi zaś podchodząc pod strome góry sapali ze zmęczenia, czym skutecznie ostrzegali mieszkające tam dzicze watahy. W czasie huczki widywano jednak kilka wielkich odyńców, wśród których mogła być ta dzika bestia.

Później jednego z olbrzymów strzelił Wojtek. Mieszkał parę dni w schronie na środku pola, czym przechytrzył czujność odyńca. Nie był to jednak gamrat.

O tym, że dziki niszczyły uprawy ziemniaków było wiadomo od dawna. Jednak kiedy pojawił się gamrat, tak nazwany przez leśniczego w czasie huczki, coraz więcej psów zaczęło odnosić rany, a niektóre nawet ginęły.

Kajtek był pierwszym, któremu dzik rozpruł brzuch. Tylko cudem go uratowano. Odyniec szczególnie wyżywał się na nocnych stróżach przywiązanych do łańcucha. Nie pomagały dyżury myśliwych i gospodarzy. Wiele z nich straciło swoje czworonogi.

Byli wściekli na leśniczego i myśliwych. Żądali słonych odszkodowań za zniszczone uprawy.

Po krwawych szarżach na gospodarskie Burki zaprzestano pilnowania pól, a dzicze watahy dokonywały tam dzieła zniszczenia. Zarządzono wówczas walne polowania, ale ich wyniki były mizerne. Pozostało cierpliwie czekać na śnieg, na białą stopę.

W końcu bardziej niż zwykle sypnęło i mróz skuł ziemię. Ustalono wówczas, że gamrat, ze swym podobnej wielkości rówieśnikiem, mieszka na górze Urwistej, wzniesieniu ponad czterystumetrowym, którego szczyt spiętrzają kamienne bloki. Jest tam wiele jaskiń i załomów skalnych.

Okrażono tę górę i skrupulatnie naganka z psami weszła do miotu. Już na samym początku było wiadomo, że wśród dzików tam zalegających był gamrat, bo znaleziono Kubę z rozprutym brzuchem. Widok psa był okropny. Na pewno by nie przeżył, gdyby nie natchmiastowa pomoc weterynarza. Zamieszanie z Kubą pozwoliło ujść obu dzikom z miotu niepostrzeżenie.

Później nastąpiła sroga, mroźna zima. Ścięła lodem górskie potoki. Wschodni wiatr napędził zwały śniegu, który zalegał wśród skał i w lasach. Nawiany, biały puch napęlił wąwozy i skalne rozpadliny i o dziku już nawet trochę zapomniano.

Przez trzy dni śnieżycy nie ustawała. Szalała z dziką zawziętością. Gęsta kurzawa w krótki styczniowy dzień powodowała, że ciemności trwały prawie przez całą dobę. Kiedy wydawało się, że swymi rozmiarami spowoduje zatrzymanie na drogach wszelkiego ruchu, w nocy zerwał się potworny wichur, w Karkonoszach zwany wiosną wiatrem fenowym. Szalał do rana, zrywał druty telegraficzne i pozbawił wiele domostw światła. Jednak największe spustoszenie poczynił w lasach. Wywrócił wiele drzew. Wiekowy świerk przyniósł dopiero, co wybudowany paśnik, a ambonę na stoku Urwistej wyrwał wraz z podporami i rzucił na odległość wielu metrów. Wichura jednak swą mocą wydmuchała śnieg i osuszyła drogi, które stały się przejezdne.

Po wypiciu gorącej kawy i porządnym rozgrzaniu się ruszyliśmy na Południowy Grzbiet. Czerń styczniowej nocy rozświetlała duża tarcza księżyca. Na poboczach lśniły srebrne tafle lodu i srebrzyły się zastygłe potoki.

Położone wśród lasów zaśnieżone kopulaste pagórki były tej nocy oblegane przez zwierzynę. Wystraszone huraganem i hałasem łamanych drzew wszystko, co tylko żyło w lesie wyszło teraz na otwarte pola i było dobrze widoczne w blasku księżyca. Przeważały sarny i zające, ale pod samym lasem baraszkowały lisy, a w cieniu stały jelenie.

W powrotnej drodze na polu z kukurydzianym ścierniskiem, na którym pozostawione badyle wystawały spod śniegu, Mietek odkrył wielkiego odyńca. Pod nosem wyksztusił, że to chyba gamrat. Bezszereście otworzył drzwi samochodu i kryjąc się za skarpą drogi podszedł dzika na odległość strzału. Panowała zupełna cisza. Północ już dawno minęła. Tylko czasami z głębi lasu słyhać było łamanie drzew i szmery opadających nawisów śniegu. Huk ze sztucera wydawał się niezbyt głośny. Mietek wrócił uradowany i szczęśliwy.



– Słuchajcie, co wam powiem – zatykało mu oddech w piersi, kiedy mówił. – Strzeliłem gamrata spod Urwistej!

– Nie wygłupiaj się – odrzekł Waldek. - Tutaj to niemożliwe!

– A jednak byłem przy nim. Leży olbrzym, chyba ze sto pięćdziesiąt kilogramów waży.

– Uwierzymy jak zobaczymy!

Mietek zdjął kurtkę, jak by było to lato, wziął latarkę, nóż i poszedł

do swego dzika. Czekaliśmy na świetlny sygnał, ale trwało to zbyt długo.

Z okrzykami złości i przekleństw wrócił po sztucer. Z przerażeniem dowiedzieliśmy się, że gamrat żyje, a z zachowania kolegi wyczuwaliśmy, że coś się stało. Waldek oświetlił jego mundur. O zgrozo, był pocięty i zakrwawiony!

Szybko podjechaliśmy na pogotowie. Dwa cięcia dzika trzeba było Mietkowi zszyć, reszta to niegroźne zadrapania.

Doczekaliśmy świtu. Kiedy wróciliśmy na kukurydziane pole, dzika już nie było. Pozostał po nim wryty w śniegu szeroki rów prowadzący w stronę lasu. Tylko kilka perełek farby świadczyło, że gamrat został trafiony kulą.

Dzik ten prawdopodobnie potem przeniósł się na odległy Północny Grzbiet Gór Kaczawskich, bo odtąd gospodarze mieli z nim spokój.





KOŁO ŁOWIECKIE
"DARZ BÓR"
W JELENIEJ GÓRZE

Data założenia koła: 7 lipca 1947 r.

Założyciele: Tadeusz Igelström Szol,
Edward Czerny, Zenon Wiltowski, Władysław
Grzybowski, Tadeusz Sulewski, Stanisław Bejger,
Zygmunt Szulc.

Kolejnymi prezesami koła byli:
Edward Czerny, Mieczysław Sokół, Tadeusz
Rzęsista, Remigiusz Łacki, Wojciech
Chrzastowski i Edward Przebieracz.

7 lipca 1947 roku w sali dawnego Dworca Turystycznego przy Pl. Bankowym (nad dawnym "Orbisem", a później „Juwenturem”, naprzeciw Książnicy Karkonoskiej w Jeleniej Górze zebrała

się grupa działaczy łowieckich dla powołania drugiego po „Muflonie” koła łowieckiego.

W spotkaniu tym uczestniczyli: przewodniczący Dolnośląskiej Rady Łowieckiej Tadeusz Igelström Szol, ppłk. Edward Czerny, dr Zenon Wiltowski, Władysław Grzybowski, Stanisław Bejger, Tadeusz Sulewski i Zygmunt Szulc. Najczęściej byli to żołnierze Wojska Polskiego, dawni partyzanci pochodzący z Wileńszczyzny, Kieleckiego, Poznańskiego i zza Bugu, a wszystkich łączyła wspólna pasja łowiecka i ochrony przyrody. Ich zadaniem było stworzenie silnych organizacji łowieckich, powstrzymanie szerzącego się kłusownictwa i ratowanie zwierzyny łownej.

W dniu tym powołano Stowarzyszenie Myśliwskie „Darz Bór” z przewodniczącym ppłk. Edwardem Czernym, łowczym Stanisławem Bejgerem, skarbnikiem Zygmuntem Szulcem i sekretarzem Tadeuszem Sulewskim.

Stowarzyszeniu oddano w dzierżawę ponad 10 tysięcy ha obwodów po byłej Powiatowej Radzie Łowieckiej, na północny - wschód od Jeleniej Góry.

Początki pracy Stowarzyszenia były udane. Dwunastu członków z pasją budowało paśniki, ambony. Patrole doświadczonych, przedwojennych myśliwych na starym motorze z demobilu kontrolowały dwa przyległe do siebie obwody. Zahamowano znacznie szkody łowieckie.

Niestety rok 1948 przyniósł niepowodzenia w działalności Stowarzyszenia. Po przeniesieniu Wojewódzkiej Rady Łowieckiej Dolnego Śląska z Jeleniej Góry do Wrocławia, razem z nią wyjechał prezes Stowarzyszenia ppłk. Edward Czerny. Miało to bardzo ujemny wpływ na pozostałych członków zarządu. Działalność w terenie osłabła później do tego stopnia, że 28 lipca 1949 r. zarząd „Muflona” postanowił wchłonąć członków Koła „Darz Bór”, a obwody skomasować. Jednak stanowczy protest łowczego Stanisława Bejgera i sekretarza Tadeusza Sulewskiego udaremnił te plany.

Od tego okresu, aż do wyborów w 1950 roku funkcję prezesa pełnił Mieczysław Sokół, a sekretarza Tadeusz Rzęsista.

W tym czasie stan zwierzyny w obwodach był zadawalający, szczególnie saren, ale też istniało wielkie zagrożenie ze strony zorganizowanego kłusownictwa. Dość często przy pomocy automatycznej broni wojskowej, samochodów, szperaczy oślepiających, powodowano znaczne straty łowieckie.

W końcu roku 1949 szkody były tak wielkie, że Powiatowa Rada Łowiecka wydała uchwałę, na mocy, której opodatkowała sumą 500 złotych wszystkich myśliwych, a pieniądze te przeznaczyła na fundusz ratowania zwierzyny.

Lata pięćdziesiąte były okresem dalszej transformacji w kole. Wymagano od myśliwych więcej poświęcenia i wysiłku przy ratowaniu, dokarmianiu i ochronie zwierzyny łownej.

– Były to lata niespokojne – wspomina Jerzy Grabowski – z kół usuwano stare tradycje myśliwskie św. Huberta.

W roku 1950 Walne Zebranie wybrało nowy zarząd koła. Prezesem został adwokat Tadeusz Rzęsista, w skład zarządu weszli również: Tadeusz Sulewski, Stanisław Bejger, Mieczysław Sokół i Kazimierz Faber.

W wyniku intensywnej działalności łowieckiej w latach sześćdziesiątych następuje znaczny wzrost osobowy koła, a także pogłowia zwierzyny w dzierzawionych obwodach.

Coraz częściej zaczęły pojawiać się sarny, jelenie i drobna zwierzyna. Na te tereny po wielu latach nieobecności powrócił dzik, a później także muflon.

W latach tych nastąpił też intensywny rozwój koła „Darz Bór”. Powołano strażników łowieckich, oddano pod opiekę rejony wybranym grupom myśliwych. Stali się oni odpowiedzialni za budowę paśników, magazynów, ambon i innych urządzeń zabezpieczających karmę, zagospodarowano kilka poletek zaporowych dla zwierzyny. Wszystkie te prace wykonano społecznie.

Na dzierzawionych terenach powstało 30 solidnych pańników, 5 dużych magazynów, ustawiono dziesiątki lizawek i pojemników na pasze sypkie.

Jednak dalszy intensywny rozwój obwodów był coraz bardziej uzależniony od finansów. Koło przez wiele lat dzierżawiło stawy rybne, a część z pieniędzy uzyskanych z hodowli karpi przeznaczano na zakup bażantów. Kupiono także zające, które zasiliły łowiiska. Udostępniono również obwody myśliwym dewizowym. Koło dysponowało, więc znacznym kapitałem.

Koło dzierżawi dwa obwody: obwód łowiecki nr 266, obejmujący miejscowości: Dąbrowica, Trzcińsko, Wojanów, Janowice Wielkie, Radomierz, Maciejowa, Komarno oraz obwód nr 239 obejmujący miejscowości: Wojcieszów, Dziwiszów, Janochów, Radzyń, Podgórkki, Starą Kraśnicę, i Lubiechową.

Łącznie obwody te liczą 9742 ha powierzchni.

Na terenach w większej części górzystym, występują dziki, jelenie, sarny, jenoty, bażanty. Myśliwi pomagają rolnikom w odstraszeniu zwierzyny od upraw.

W ostatnich latach pozyskuje się średnio rocznie 40 dzików, 25 rogaczy, 45 kóz, 4 byki, 7 łań, 5 cielaków, 34 lisy, itp. Stara się, aby szkody wyrządzane przez zwierzynę były coraz mniejsze. Członkowie koła współpracują z młodzieżą szkolną.

Wielu członków koła pracuje społecznie przy budowie obiektów łowieckich, sadzeniu i sprzątaniu lasu oraz zadaniach na rzecz Polskiego Związku Łowieckiego.

Koło Łowieckie „Darz Bór” prowadzi jedną z najstarszych Foto-Kronik na Ziemi Jeleniogórskiej, zawierającą najważniejsze wydarzenia i fotografie z życia Koła i Związku.

Od wielu lat Koło otrzymuje wyróżnienia i nagrody z Zarządu Wojewódzkiego i za współpracę z młodzieżą gmin na terenie, których znajdują się obwody. Zostało wyróżnione dyplomami i nagrodami przez Ligę Ochrony Przyrody. Za całokształt działalności

Kolegium Odznaczeń Łowieckich w roku 1995 nadało Kołu: Złoty Medal Zasługi Łowieckiej.

Członkowie Koła wchodzi w skład Komisji Etyki, Zwyczajów i Tradycji Łowieckiej oraz Komisji Egzaminacyjnej przy ZW PZŁ, Wojewódzkiego Sądu Łowieckiego, itp.

Z okazji 60-lecia PZŁ na wystawie w Wałbrzychu zatytułowanej "Sudecka Kraina Łowów" prezentowano fotografie przyrodniczo-łowieckie z Koła „Darz Bór” i Foto-Kroniki, za co otrzymało ono wyróżnienie. Dorobek fotograficzny Zbigniewa Adamskiego, członka Koła, prezentowany również był w Muzeum Karkonoskiego Parku Narodowego na wystawie. „Przyroda Karkonoszy” oraz w Zarządzie Okręgowym PZŁ i na łamach miesięcznika „Łowiec Polski”.

Wzorowe stosunki, koleżeństwo i zdyscyplinowanie członków Koła są gwarancją wychowania w tradycji myśliwskiej przyszłych adeptów łowiectwa, one gwarancją dalszego rozwoju.

Największym atutem polowań w Kole jest nie tylko świetna atmosfera, ale przepiękne, stale zmieniające się krajobrazy łowisk - od fragmentów mokradeł i Bagien Trzczańskich do skalistych turni, zielonych u dołu łąk, do oszronionych szczytów, a jednocześnie bardzo trudne warunki terenowe, wymagającego niekiedy sporej sprawności.

Wiele artykułów o działalności Koła ukazało się w lokalnej prasie i „Łowcu Polskim”. Zdjęcia kronikarza koła - Z. Adamskiego, prezentowane były w wydawnictwach przyrodniczo-łowieckich i w „Łowcu Polskim”, w którego w konkursach fotograficznych zdobywał on wielu nagród i wyróżnień. Te same zdjęcia prezentowane są w trzech tomach Foto-Kroniki Koła.

Z okazji jubileuszu 50-lecia działalności Koła odbył się festyn z tradycyjnym bigosem myśliwskim, wystawą trofeów, zdjęć, kronik i czasopism. Wręczono odznaczenia, dyplomy i puchary pamiątkowe.

Od wielu lat funkcję prezesa Koła Łowickiego „Darz Bór” w Jeleniej Górze pełni Edward Przebieracz.

Członkowie Koła:

Zbigniew Adamski, Józef Blacha, Tadeusz Bochynek, (łowczy) Krzysztof Borucki, Włodzimierz Borucki (członek Komisji Rewizyjnej), Henryk Chalecki, Marek Dębski, Andrzej Geringer, Kazimierz Horodyski (sekretarz zarządu koła), Robert Horodyski, Zdzisław Jasiak, Zbigniew Jaśkiewicz, Adam Kamiński, Andrzej Kopeć (niemacierzysty), Zbigniew Klubek, Jerzy Kowalik, Bronisław Kulik, Witold Libersbach, Remigiusz Łącki, Gustaw Marciniak (członek Komisji Rewizyjnej), Marcin Maślanka, Tadeusz Maślanka, Maciej Maślarz, Andrzej Migdalski (niemacierzysty), Mirosław Orzechowski (podłowczy), Sławomir Orzechowski, Władysław Pater, Waldemar Pater, Wiesław Pirus, Edward Przebieracz (prezes zarządu koła), Tadeusz Prugar (niemacierzysty), Jan Pyplacz, Jerzy Puk, Władysław Ruszel, Grzegorz Ruzik, Robert Sadowski, Bogusław Salus, Bolesław Sikora, Stanisław Siuta, Zbigniew Stasiak (skarbnik), Jerzy Szaliński, Lucjan Szczepaniak, Julian Szczepański, Mieczysław Szczepański, Zygmunt Trzepizur, Mieczysław Tukajło, Mieczysław Urbaniak (przewodniczący Komisji Rewizyjnej)), Jan Zdziemborski.

Stażyści: Jacek Borucki, Maciej Borucki, Małgorzata Sadowska, Magdalena Tukajło

Odeszli na wieczne łowy

Zygmunt Bała, Zygmunt Bieszczad, Jerzy Grabowski, Tadeusz Janota, Kazimierz Józefczuk, Cecylia Juros, Wojciech Juros, Apolinary Kułakowski, Franciszek Krupa, Krzysztof Łącki, Edward Pająk, Adam Porębski, Krystyna Rzęsista, Tadeusz Rzęsista, Mieczysław Sadowski, Jerzy Sinderman. Tadeusz Sułewski, Jan Trojan, Marian Zatwarnicki, Tadeusz Zatwarnicki.

MIESZKAŃCY GÓR KACZAWSKICH

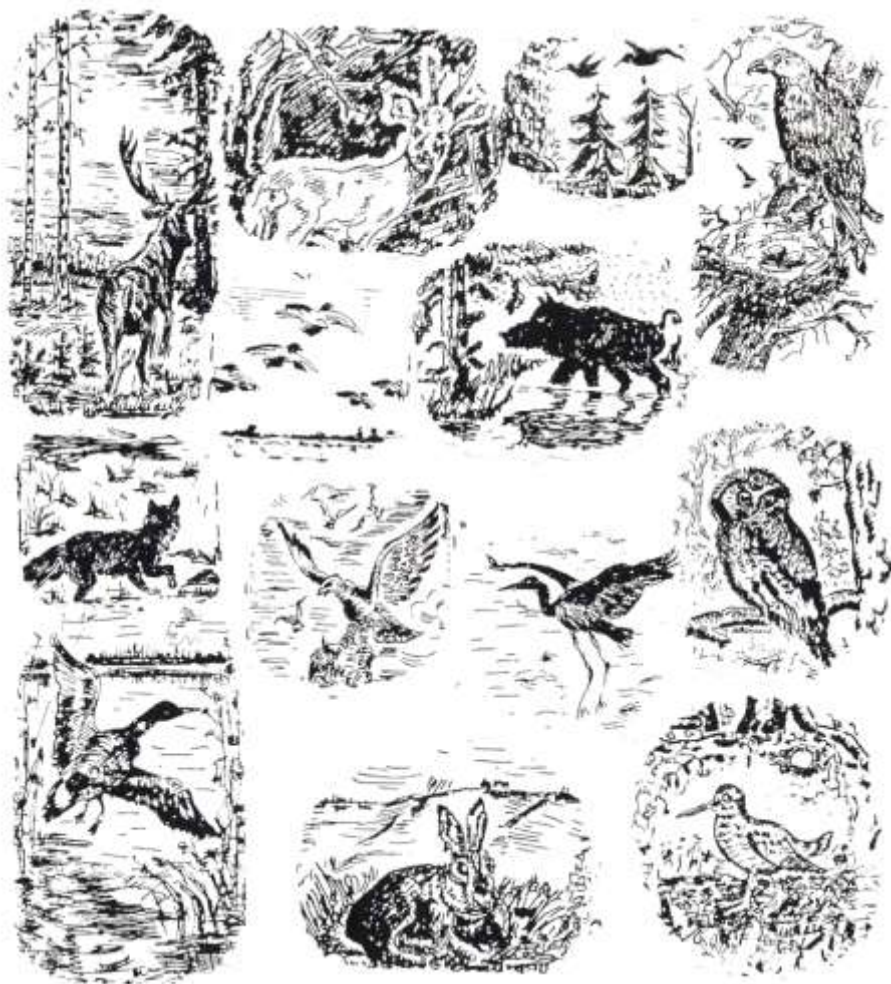


FOTO KRONIKA

KOŁA ŁOWIECKIEGO

„DARZ BÓR”

W JELENIEJ GÓRZE



Na pierwszym planie Stanisław Bejger – współzałożyciel wielu stowarzyszeń myśliwskich w Jeleniej Górze, w tym Koła Łowieckiego „Darz Bór” w dniu 7 lipca 1947 r.

Na zdjęciu: polowanie na dziki w 1974 r.



HUBERTUS W KOLE LOWIECKIM "DARZ BÓR" KOMARNO 2009r



Szałas – Koła łowieckiego „Darz Bór” w Komarnie.



Wypieki Witolda Libersbacha prezentują żony myśliwych:
Helena i Jolanta Szczepańskie.



Tadeusz Bochynek otrzymuje dyplom uznania od prezesa Koła.



Prezes „Darz Boru” wręcza dyplom uznania kol.Bolesławowi Sikorze.



Stanisław Predota, Tomasz Zatoka, Kazimierz Koncewicz, Edward Przebieracz, Tadeusz Bochenek, Mieczysław Orzechowski.



Remigiusz Łącki otrzymuje dyplom 60-lecia Koła od prezesa.



Gratulacje od ZO PZŁ odbiera prezes Koła „Darz Bór”



Łowiectwo jest nie tylko domeną mężczyzn.



Zmartwiony prezes Koła „Darz Bór”.



Władysław Pater ze swoim „tygrysem” na polowaniu.



Prezes Koła wręcza dyplom uznania Robertowi Sadowskiemu.



Prezes PRŁ w JG Ludwik Hryciw wręcza Zb. Adamskiemu Medal Świętego Huberta.



Prezes „Darz Boru” Edward Przebieracz przed Domkiem
Myśliwskim Koła „Głuszczyca”.



Odprawa przed polowaniem zbiorowym.



Ostatnia instrukcja łowczego przed zajęciem stanowisk.



Zb. Adamski i M. Szczepański słucha opowieści brata Edmunda.



Odprawa członków Koła przed polowaniem w Komarnie.



Koleżeńska narada przed polowaniem.



W drodze do leśnego folwarku.



Chwilę refleksji zafundował Kazimierz Horodyski.



Spotkanie po udanym polowaniu.



Spotkanie Hubertowskie członków Koła i ich rodzin w Komarnie.



Naganka przed polowaniem.



Odpoczynek w szałasie.



Henryk Halecki ze swoim ulubieńcem.



Mieczysław Urbaniak, Mieczysław Tukajło, Wiesław Pirus
na zbiórce przed polowaniem.



Od prawej: prezes E.Przebieracz, T.Bochynek, Wł.Pater ,
M. Maślarz i A.Migdalski.



Z. Trzepizur, Z.Jasiak, J.Szaliński pozują do zdjęcia.



7.11.2009r

Chwila przed wyruszeniem na łowy.



16.01.2010r

Darek A.- gościem na polowaniu zbiorowym w Kole „Darz Bór”.



Wice starosta Złotoryjski Józef Sudół z wizytą w Kole „Darz Bór”
- tym razem bez broni.



Paweł-młody adept łowiectwa wśród braci myśliwskiej.



Wiesław Pirus przewodzi nagance.



Krótką naradą przed pędzeniem.



Julian Szczepański z upolowanym dzikiem.



Tradycyjne ognisko po udanych łowach.



Warchlak na śniegu.



Wczesnym rankiem na żerowisku.



Jeleń z obwodu 239



Lisek obserwuje myśliwych.



Krzyżówki z bagien w „Jasiowej Dolinie.”



Czapla siwa z Bagien Trzczańskich.





Mały słownik języka łowieckiego

ALBINOS – zwierzę dotknięte bielactwem

AMBONA – stanowisko myśliwskie zbudowane na palach lub na drzewie dla obserwacji i polowania

BARŁÓG – legowisko dzika w czasie spoczynku w ciągu dnia.

BADYL – noga sarny lub jelenia

BAŻANT – ptak łowny z rodziny kurowatych

BEZPIECZNIK – mechanizm zabezpieczający broń przed oddaniem przypadkowego strzału

BIEGI – nogi

BORSUK – ssak z rodziny łasicowatych, mieszka w norach, zimę spędza w półśnie

BÓR – typ lasu iglastego

BUCHTOWISKO – ziemia porożona przez dziki poszukujące żeru

BYK – samiec: jelenia, żubra, daniela i łosia

BRENEKA – kula używana do broni śrutowej

CEWKA – noga sarny

CIETRZEW – ptak wielkości kury z rodziny głuszcowatych, zamieszkuje wrzosowiska i torfowiska

CHŁYST – młody jeleń, byk asystujący bykowi stadnemu, kibic, towarzysz przy chmarze w okresie rykowiska

CHMARA – stado jeleni

CHYB – gęsta, sztywna szczecina na karku dzika

CYRANKA – dzika kaczka, pod ochroną od 1995 r

CZAPLA SIWA – łowny ptak, rybożerny

CIĄGI – przeloty dzikich gęsi lub kaczek na żerowiska

CZATY – myśliwy czatuje na zwierzynę (zwyszka, ambona itp.)

CZOK – zwężenie lufy w broni śrutowej
CZUSZYKANIE – głos wydawany przez koguta cietrzewia w czasie tokowania
DARZ BÓR – myśliwskie pozdrowienie
DĄBROWA – drzewostany dębowe zamieszkiwane przez dziki
DIANA – rzymska bogini łowów
DRAPIEŹNIK – zwierzę żywiące się innymi gatunkami zabijanymi przez siebie
DROZDY – ptaki z rzędu wróblowatych - paszkoty i kwiczoły
DRYLING – myśliwska broń łamana o dwóch lufach gładkich i jednej gwintowanej
DUBLET – dwa oddane celne strzały, jeden po drugim do dwóch sztuk zwierzyny
DWUNASTKA – broń myśliwska – śrutowa
DWUNASTAK – jeleń noszący na głowie rogi o sześciu odnogach każdy
DZIK – łowny krewniak świni domowej, żyjący w lasach
EUSTACHY św. - dawny patron myśliwych
FAJKI – kły dzika w górnej szczęce, dolne nazywa się szablami
FOKSTERIER – rasa psów używanych do polowania na dziki
FARBA – krew dziko żyjących zwierząt
GACH – samiec zająca
GAMRAT – odyniec w okresie huczki
GEBA – pysk zwierzyny płowej - kozicy, muflona oraz żubra
GEĞAWA – największa z europejskich dzikich gęsi
GLUSZEC – największy z europejskich kuraków leśnych, skrycie tokuje w Karkonoszach
GON – goniące zwierzynę, szczekające psy
GRUCHANIE – głos gołębi
GRZYWACZ – największy z polskich dzikich gołębi
GRZĘDA – stanowisko myśliwego na konarze drzewa
HUBERT św. – ok. 656-727, patron łowiectwa i myśliwych od XV wieku

HUCZKA – okres godowy dzików
JARZĄBEK – łowny ptak leśny z rodziny głuszcowatych, często nazywany leśną kuropatwą
JĄZWIEC – inaczej borsuk
KAPITAŁNY – rogacz lub jeleń o pięknych rogach
KIERDEL – stado muflonów lub kozic
KNIAZIANIE – głos trwogi wydawany przez zającą
KNIEJÓWKA – broń myśliwska o jednej lufie kulowej i jednej śrutowej
KOMORA – część ciała grubego zwierza, gdzie znajdują się płuca i serce
KOPYRA – zając w mowie myśliwskiej i gwarowej
KOT – ryś, żbik, zając
KWIAT – ogon borsuka i zwierzyny płowej
LICÓWKA – łania prowadząca stado jeleni
LOCHA – samica dzika
LUSTERKO – kolorowa plama na skrzydłach kaczek
MIOT – powierzchnia lasu, po której naganka pędzi zwierzynę
MUFLON – dziko żyjący w Sudetach gatunek owcy
MYŁKUS – zwierzyna płowa ze zniekształconym porożem
NEMROD – zapalony myśliwy (nazwa żartobliwa)
ODYNIEC – dzik żyjący samotnie, stary samiec
OREŹ – szable i fajki dzika
OSTATNI KĘS – kawałek iglastej gałązki włożony do pyska grubego zwierza
PAROSTKI – poroże sarny kozła
PERUKARZ – rogacz lub jeleń byk o porożu w kształcie narośli pokrytym scypułem
PONOWA – świeży śnieg, na którym zwierzyna odcisnęła swe tropy
PRZESMYK – wydeptana ścieżka, którą przechodzi zwierzyna
RAKIETA – kaczka cyranka w locie
RAPETY – nogi dzika
RYKOWISKO – ruja jeleni, okres godowy

SŁONKA – długodzioby ptak, podczas wiosennego lotu godowego chrapie lub gwizdże

STAWKI – nogi lisa i borsuka

SZABAS – przerwa w grze cietrzewi podczas toków w momencie wschodu słońca

SUKNIA – skóra okrywająca ciało sarny, jelenia i dzika

SZYDLARZ – kozioł lub jeleni byk z ostrymi zakończeniami tyk, poroże bez odnóg

TABUNY – stada dzikich gęsi

TOKOWISKO – miejsce, gdzie odbywają się toki głuszców, cietrzewi i batalionów

TYKA – jeden róg rogacza, jelenia

WARCZLAK – dzik do jednego roku życia

WATAHA – duże stado dzików

WINCHESTER – amerykańska gwintowana broń myśliwska

WIENIEC - poroże jelenia byka

WYCINEK – dzik od dwóch do trzech lat, samiec

WSTECZNIAK - stary rogacz, jeleni o starzejących się rogach

ZESTRZAŁ – ścinka sierści odcięta kulą w miejscu strzału

ZWIERZYNA PŁOWA – sarny, daniela, jelenie

ZWIERZYNA CZARNA – dziki

ZWIERZ KAPITALNY – odznaczający się kondycją i wagą ciała

ZWYSZKA – stanowisko myśliwego na stogu

ZŁOM – najwyższe odznaczenie łowieckie: obłamana świerczyna, zamaczana w farbie, wręczona myśliwemu po strzeleniu grubego zwierza

ZBIGNIEW ADAMSKI

były dziennikarz, autor szeregu opowiadań i reportaży oraz książek. Debiutował w 1980 roku - „Rospudą do Puszczy Augustowskiej”. Jego pasją życiową jest fotografia, przyroda, turystyka i krajoznawstwo.

Urodził się 21 kwietnia 1932 roku na Ziemi Kujawsko - Pomorskiej. Od młodości u boku swego dziadka zaprawiał się w wędkarstwie, myślistwie i tajnikach nadnoteckiej przyrody. Jego fotografie przenoszą nas w baśniowy świat puszczy i bagien, na Litwie i Mazurach, Puszczy Boreckiej, Piskiej, Białowieskiej oraz Pszczyńskiej. O Puszczy Sudeckiej i Borach Bydgoskich pisze „W Królestwie Diany”, „Skarbcu Sudeckiej Puszczy” i „W ogrodzie Ducha Gór Rzeplióra”. Opowiadania ze spotkań z głuszcami, cietrzewiami na Kowarskim Grzbiecie, spotkania z grzywaczami w Rudawach Janowickich, jeleniami i dzikami w Karkonoszach, to dobra lektura dla miłośników przyrody.

W „Skarbcu św. Huberta w Karkonoszach i na Pogórze” wydanym w 1997 r. autor przedstawił przygotowywaną od lat 1970- tych historię powstania po wojnie Stowarzyszeń Myśliwskich na Ziemi Jeleniogórskiej. Od 1948 roku, wraz z przeniesieniem się z naszego miasta Dolnośląskiej Rady Łowieckiej do Wrocławia, materiały o powojennej działalności łowieckiej z naszego terenu zaginęły. Odtworzenie ich nie było łatwe i trwało wiele, wiele lat. W kronikach pierwszych Kół Łowieckich było zaznaczone „powstanie Koła nieznane”? Jednak Koło „Darz Bór” takiego wstępu nie miało. O tych ciekawych wydarzeniach autor pisze w książce „Stowarzyszenia Myśliwskie w Grodzie nad Bobrem” 1945 - 1954 i w „Skarbcu św. Huberta”

*

Autor brał udział w licznych ekspozycjach fotografii przyrodniczej na wystawach oraz prezentacjach zwierząt łownych w Łowcu Polskim i innych czasopiśmiech.

Od roku 1970 prowadził Kroniki Koła „Darz Bór”.

Ziemski

Więcej znajdziesz w bibliotece Zarządu Okręgowego Polskiego Związku Łowieckiego w Jeleniej Górze, tel. 075 75 223 68



TEGOŻ AUTORA

- Rospudą do Puszczy Augustowskiej - 1980r. - Muzeum Karkonoskie
Moje spotkania z przyrodą – 1984 r. - Muzeum Karkonoskie
Skarbiec św. Huberta w Karkonoszach i na Pogórzu -1997 r. SK Wrocław
Ze strzelbą i wędką - 1998 r. - Zarząd Okręgowy PZŁ w Jeleniej Górze
Ontaryjskie safari – 2000 r. -Spółka Komputerowa R. KA w Inowrocławiu
Nad rzeką św. Wawrzyńca – 2002 r. -Z.O. PZŁ w Jeleniej Górze
Łowy z kamerą - 2003 r. -Z.O. PZŁ w Jeleniej Górze
W królestwie Diany - 2004 r. - Z.O. PZŁ w Jeleniej Górze
Z wędrówek po puszczach - 2004 r. - Z.O. PZŁ w Jeleniej Górze
Tęczowe lasy Kanady - 2005 r. - Z.O. PZŁ w Jeleniej Górze
Skarbiec św. Huberta
w zachodniej Krainie Sudetów – 2006 r. -Z.O. PZŁ w Jeleniej Górze
Na tropach książek (katalog) - 2006 r. - Z.O..PZŁ w Jeleniej Górze
Stowarzyszenia myśliwskie
W grodzie nad Bobrem – 2007 r. - Z.O. PZŁ w Jeleniej Górze
Łowy z wędką – 2008 r. - Z.O. PZŁ w Jeleniej Górze
W ogrodzie Ducha Gór – Rzepióra – 2008 r. - AD REM w Jeleniej Górze
Nad Bobrem Odrą i Notecią –2009 r. - TOTEM w Inowrocławiu
Skarbiec Sudeckiej Puszczy – 2010 r. - AD REM w Jeleniej Górze

